Nr. 26. 30 h. = 25 fen.

SZERLOK HOLMES

TYGODNIK KRYMINALNY.

Kraków, dnia 27 listopada 1909.

Wychodzi w każdą sobotę.

Z treści: **Brylanty za pięć milionów dolarów.**



Fałszywy kapłan wznosił już ręce do błogosławieństwa, a dziewczyna łkając, zasłoniła swe oczy chusteczką.

Przedruk wzbroniony.

Prenumerata kwartalna (13 numerów) wraz z przesyłką pocztową kor. 3·60, mk. 3·60, rs. 2·—.

Szerlok Holmes

Tygodnik kryminalny.

Redakcya i Administracya: ul. Zielona 7.

Prawo przekładu na inne języki zastrzeżone.

Cena numeru pojedynczego 30 hal., 25 fen., 15 kop.

Wychodzi w każdą sobotę.

Nr. 56 Kraków, dnia 27 listopada 1909. Nr. 56

ZE ŚWIATA.

Pogoń detektywów.

W pewnem południowo-francuskiem miasteczku ożenił się starszy kupiec z szansonistką, której jednak spokojne, uregulowane życie rodzinne wkrótce się sprzykrzyło — i nawiązała stosunek z przyjacielem domu i uciekła z nim od męża. Przy tej sposobności zabrała wszystkie kosztowne podarunki, które swojego czasu otrzymała od męża.

Mąż jej przed zarządzeniem pościgu za niewierną, chcąc wybadać miejsce pobytu zakochanej pary — zwrócił się do biura detektywów. Natychmiast poruczono tę misyę 22-letniemu młodzieńcowi i wysłano go do Paryża, gdzie przypuszczalnie schroniła się artystka wraz z swoim kochankiem. Młody detektyw wziął ze sobą fotografię szansonistki i obiecał natychmiast dać znać mężowi, skoro tylko wytropi ich miejsce pobytu. Przedewszystkiem miał polecone nie spuszczać ich z oka i śledzić ich skrupulatnie. Zaopatrzony fotografią i odpowiednią ilością banknotów, udał się młody Szerlok Holmes na poszukiwanie.

Właśnie nabrał podejrzenia, że młoda para zamieszkiwała w pewnym hotelu. Ale na fotografii była dama zdjęta bez kapelusza, podczas gdy detektyw spotykał ją zawsze w kapeluszu. To utrudniło nieco agnoskowanie „zbrodniarki“. Dlatego przypatrywał jej się zawsze bystro, porównywując żywy oryginał z fotografią.

Artystka spostrzegła wkrótce, że jest śledzoną, ale cel tej akcyi pojęła zupełnie opacznie. Była przekonaną, że młody, przystojny człowiek zakochał się i kokietuje z nią w ten sposób. Mieszkając w hotelu, zrobiła łatwo znajomość z młodym detektywem i — wywiązała się z tego namiętna miłość. Ponieważ tymczasem znudził się jej obecny wielbiciel — namówiła kochliwego, a słabego charakteru młodego Szerloka Holmesa, żeby pojechał z nią w daleki świat, by używać życia i miłości.

Przyjaciel domu, widząc co się dzieje — ujrzał się nagle oko w oko z mężem uwiedzionej kobiety, którego detektyw zanadto prędko uwiadomił o miejscu pobytu wiarołomnej żony. Mąż szansonistki zjawił się w Berlinie. Obydwaj zdradzeni zgłupieli. Pogodzili się jednak z przykrym losem i wspólnie sami — powrócili do ojczyzny. Poszukiwania jednak obydwaj zaniechali.

Zamknięty sędzia śledczy.

W miasteczku Warnsdorf, stacyi kolei Północnej (czeskiej) w Czechach zdarzył się wypadek, przypominający najpocieszniejsze farsy, o jakich kiedykolwiek się słyszało.

W tamtejszem więzieniu siedział biedny jakiś wagabunda, niejaki Wendelin Hiller, który miał szczególniejsze zamiłowanie do gęsi, a nie posiadając dostatecznych funduszów, w sposób łatwy, acz z ustawą niezgodny usiłował na ulicach ojczystego miasteczka, wejść w posiadanie tego pięknego, a smacznego ptaka.

Z powodu niedozwolonego polowania na gęsi siedział tedy Hiller w więzieniu i z żalem myślał o utraceniu złotej wolności i kulinarnych słodyczach życia. Wyłamanie się było niemożliwe, gdyż więzienie było zaopatrzone we wszystkie nowoczesne urządzenia, udaremniające tego rodzaju zakusy. Gdy pewnego dnia wpłynął nowy materyał obcią-

żający Hillera — został on przyprowadzony przed sędziego. Sędzia i protokolant siedzieli za biurkiem na krzesłach i pierwszy rozpoczął badanie. Hiller zoryentował się natychmiast w sytuacyi: z biura sędziego prowadziły tylko jedne drzwi na korytarz. Gdy uważał, że dosyć już sędzia wie, skłonił mu się uprzejmie i znikł na korytarzu za drzwiami, zamknąwszy je następnie na klucz za sobą. Klucz — dla pewności zabrał ze sobą. Sędzia i protokolant walili wspólnemi siłami w drzwi, ile sił mieli, daremnie! Minęło kilka godzin zanim urzędników uwolniono. Hiller łowi tymczasem z całą swobodą ulubione swoje ptaki.

Walka na noże o kieliszek wódki.

We Wiedniu zdarzył się zeszłej nocy charakterystyczny wypadek, świadczący wymownie o zdziczeniu obyczajów naddunajskiej stolicy.

Dwóch braci Hildebrandów wracało około godziny 10 w nocy, dążąc do swego domu w X cyrkule położonego. Po drodze zaczepieni zostali przez jakichś trzech drabów, którzy w coraz to gwałtowniejszy i natarczywszy sposób zaczęli dopominać się poczęstunku wódką. Bracia Hildebrand nie mając ani pieniędzy, ani ochoty do spełnienia tego brutalnego żądania, odmówili stanowczo. Wtedy nieznajomi rzucili się na nich i nożami ciężko obydwóch pokaleczyli.

Pogotowie ratunkowe przewiozło ich w stanie beznadziejnym do szpitala.

Psy policyjne.

Dziwna rzecz, że dopiero w naszych czasach zaczęto korzystać z usług psów w służbie bezpieczeństwa publicznego, chociaż te wierne a odważne czworonogi miały z dawien z dawna zasłużoną sławę w tym kierunku.

Sławny jest pies Aubry'ego, owego francuskiego rycerza, którego mordercę pies jego wyszukał. Przerobienie na scenę tej historyi na dramat, w którym tresowany pudel gra główną rolę, było przyczyną, dlaczego Goethe zrzekł się kierownictwa teatrem w Wajmarze. Inny przykład: Dwóch rzeźników przyszło do pewnej wsi, celem zakupna bydła. Tu rozstali się umawiając, że po załatwieniu transakcyi spotkają się w miejscowej karczmie. Jeden z nich stał się ofiarą chciwości ludzkiej, zwabiony przez pewnego wieśniaka, u którego chciał wołu kupić — do stodoły, został przez tegoż siekierą zarąbany. Bestyalski człowiek ukrył potem przy pomocy swej żony trupa w mierzwie, by go przy nadarzonej sposobności wynieść z domu i zakopać gdzie.

Długa nieobecność pana zniecierpliwiła i zaniepokoiła wiernego jego psa, który kierując się węchem, znalazł miejsce zbrodni. Z straszliwem wyciem i skowytem rzucił się do drzwi domostwa wieśniaka. Oczywiście, że go nikt nie wpuścił. Wtedy wierne psisko pobiegło do miasteczka. Tu odszukał „Trezor“ przyjaciela swego pana. Zaczął na niego ujadać, skomleć, szarpać go za rękaw i ciągnąć. To dziwne zachowanie się psa zwróciło uwagę rzeźnika i wielu osób. Poszli więc gromadnie za zwierzęciem, które z szybkością strzały pomknęło na miejsce zbrodni. Teraz wobec tylu ludzi — wieśniak nie mógł stawiać oporu. Pies pierwszy poleciał do stajni i tam w oczach wszystkich wykopał z ziemi trupa swego pana.

Mordercza para, zaskoczona tak nagle i niespodziewanie wykryciem ohydnej swej zbrodni, nie próbowała nawet żadnych wykrętów ani kłamstwa. Przyznali się odrazu do czynu i w niespełna 6 tygodni odpokutowali na szafocie swój nieludzki czyn

ALLOTRIA.

Szczyt.

J e ź d z i e c - a m a t o r (do właściciela tatersalu): A czy ten koń jest łagodny?

W ł a ś c i c i e l: Panie! to wcielenie anielskiej dobroci!

Wspólnicy.

A. (do wspólnika): Musimy dać dymisyę naszemu commis-voyażerowi!... Ośmielił się odezwać przed klientem, że jestem osłem.

B. Daj pokój!... Ograniczę się na razie na tem, że zwrócę mu uwagę, by nie zdradzał tajemnic biurowych.

Pełen respektu.

H r a b i a: Janie! Jak brzmi siódme przykazanie?

J a n: O! pan hrabia nie powinien kraść!...

Z cyklu przygód Szerloka Holmesa.

BRYLANTY ZA PIĘĆ MILIONÓW DOLARÓW.

ROZDZIAŁ I.

Tajemnicza kradzież

Pewnego pięknego letniego poranku siedział w biurze firmy Tiffany & Co. w Nowym Jorku szef firmy, mr. Tiffany, wraz ze swym kierownikiem interesu mr. Schwabem i głównym ekspedytorem mr Knollisem.

Obserwowali leżącą przed nimi mapę.

Mr. Tiffany był starszym mężczyzną, ze szpakowatą brodą, jego dwaj zaś funkcyonaryusze, gładko goleni, rysami twarzy, a przedewszystkiem energicznie wystającym nosem zdradzali charakter silny i siłę woli.

Szef kreśląc ołówkiem to tu, to tam po mapie, przewracając kartki jakiejś książki, wyjaśniał:

— Teraz musi przesyłka być już prawie w St. Francisco. Tak jest, dni temu ośm odszedł ekspress z głównej stacyi, musi przeto w ciągu dnia dzisiejszego przybyć do St. Francisco. Właściwie musiał już przybyć — dodał, spoglądając na zegarek,

— Nie wiem moi panowie, czem li jestem dziś dziwnie niespokojny. Często już wysyłaliśmy cenne przesyłki we wszystkich możliwych kierunkach. Nigdy jednak nie byłem tak zdenerwowanym jak dzisiaj. Niczego sobie nie życzę, jak tylko telegramu z doniesieniem o szczęśliwem przybyciu przesyłki.

Mr. Schwab usiłował uspokoić swego szefa mówiąc:

— Mr. Tiffany, przecież nie pierwszy raz mamy za pięć milionów dolarów brylantów w drodze. Olbrzymia to suma, ale przy środkach ostrożności, zastosowanych przez nas, jest kradzież absolutnie wykluczona. Jakżeżby mogło się to przytrafić!

— Masz pan racyę, mr. Schwab — odrzekł Tiffany. — Ale niestety takie pozorne niemożliwości już się zdarzały. Ach, gdybyśmy mieli jakąś wiadomość.

Zaledwie to wymówił, ktoś zapukał do drzwi. Wszedł służący biurowy z depeszą w ręku.

— No, nasze życzenie spełnione! — zawołał Tiffany.

Już zamierzał telegram odpieczętować, lecz ręce zadrżały mu od wewnętrznego wzruszenia i wręczył go swemu asystentowi ze słowami:

— Otwórz go pan, mr. Schwab, obawiam się faktycznie go przeczytać.

Schwab spojrzał na swego szefa zdumiony. Takim go nigdy nie widział. Otworzył depeszę i przebiegł ją szybko oczyma.

W następnej chwili rysy mu się zmieniły. Wszystka krew zbiegła mu z twarzy i telegram wyleciał mu z rąk. Nie potrzebował dawać żadnego wyjaśnienia. Mr. Tiffany i Knollis zgadli natychmiast, że nadeszła nieszczęśliwa wieść.

— Cóż tam, Schwab? — zawołał szef wzburzony. — Mów pan prędko, prędko, co tam?

— Mr. Tiffany — odpowiedział tenże — nie rozumiem. W głowie mi się kręci. Zdaje się wprost nieprawdopodobnem, przeczucia pana nie zawiodły.

— Niema ich? — szepnął cicho.

Tiffany, jakby nie śmiał głośno wymówić tego przykrego pytania.

Schwab skinął milcząco głową, podniósł papier i czytał:

St. Francisco, 20 sierpnia 1907.

Stoimy przed nierozwiązalną zagadką. Skrzynka, zawierająca brylanty, nadeszła nienaruszona. Nic nie wskazuje, by ją wyłamano lub otwierano, brylantów jednak brak. Prosimy o telegraficzne wyjaśnienie.

Fodhan,
kierownik filii Tiffany & Co. w St. Francisco.

Trzej panowie spojrzeli na siebie zdumieni.

— Ależ — rzekł Schwab, załamując ręce — proszę was, panowie, jakże to możliwe?

— Możliwe jest wszystko! — odpowiedział Tiffany wzburzony — mamy przed sobą fakt i trzeba działać i to prędko!

— Chce pan zaalarmować policyę? — zapytał Knollis.

— Na miłość Boską nie! — zawołał Schwab i Tiffany równocześnie — wtedy musimy z odnalezienia brylantów zrezygnować zupełnie. Musimy powołać dzielnego detektywa i pracować w cichości. Gdyż, że nie ma się tu do czynienia ze zwyczajną kradzieżą, to jasne.

— Takie i moje zdanie – przyświadczył Schwab — sprawa jest głębszą.

Tiffany spojrzał na Schwaba pytająco.

— Sprawa jest głębszą? — powtórzył. — Jak pan myślisz? Chcesz pan przez to powiedzić, że wchodzi tu w grę oszustwo lub nadużycie zaufania?

Schwab skinął głową.

— To moje zdanie, oszustwo i nadużycie zaufania, dlatego też jestem zdania, że trzeba powołać zdolnego detektywa.

— Kogoby pan zaproponował? — zapytał Tiffany.

— Jabym powołał Szerloka Holmesa, który chwilowo przebywa w New Jorku.

— I ja myślałem o nim — odrzekł Tiffany. — Mojem zdaniem to najstosowniejszy człowiek. Zechce się pan z nim porozumieć? Może mógłby natychmiast tu przybyć.

Może będziemy mieć szczęście — rzekł Schwab i pobiegł do telefonu.

Mr. Schwab powrócił zadowolony i doniósł, że mówił z mistrzem, który był właśnie w domu. Przyrzekł przybyć natychmiast samochodem.

— Czyś go pan bliżej objaśnił? — zapytał Tiffany.

— Ani słowa — rzekł Schwab. — Powiedziałem mu tylko, że stoimy przed zagadką, której rozwiązanie uważamy prawie za niemożliwe i prosiłem go, by o ile możności przybył jak najprędzej.

W kilka minut wszedł służący i zaanonsował Szerloka Holmesa. Natychmiast powstali wszyscy trzej panowie na powitanie słynnego detektywa.

Po przywitaniu zasiadł Holmes w fotelu, zapalił cygaro i rzekł:

— Jestem teraz do waszej dyspozycyi, moi panowie. Opowiedzcie mi dokładnie, co zaszło. Proszę o treściwe opowiedzenie mi sprawy od początku do końca. Nie będę przerywał i pytania zadam na końcu.

Tiffany zaczął:

— Dni temu czternaście zatelegrafował mi kierownik filii mej w St. Francisco, że odwiedziło go kilku bogatych kupców z Brazylii, którzy mieli zamiar zakupić brylantów na sumę około pięciu milionów dolarów. Wskazał tedy tym panom nasz tutejszy główny interes i ofiarował się towarzyszyć im tutaj na nasz koszt. Panowie odrzucili tą propozycyę, ponieważ mieli w Meksyku i Teksasie jeszcze do załatwienia różne interesa i brakowało im czasu na podróż do nas. Ułożył się przeto nasz kierownik filii z tymi kupcami, że zamówi u nas brylanty w łącznej kwocie pięciu milionów i sprzedaż sam uskuteczni.

Nie pierwszy to raz, panie Holmes, posyłamy tak cenną przesyłkę do naszej filii, więc i w tym wypadku nie mieliśmy skrupułów. Ośm dni temu żądanie filii uskuteczniliśmy. Teraz musimy panu wyjaśnić, w jaki sposób przesyłki takie uskuteczniamy. Suma taka w brylantach nie zajmuje stosunkowo wiele miejsca, wystarcza kasetka, mniej-więcej wielkości pudełka od cygar. Jest ona ze stali, zamykana na sztuczny klucz, o ścianach grubości palca. Otworzenie dorobionym kluczem jest wprost niemożliwem.

W ten sposób zapakowane brylanty odnosi się na kolej i pod dozorem naszych funkcyonaryuszy i urzędników kolejowych oraz policyjnych zamyka się do niebieskiego wagonu.

Jak panu wiadomo mr. Holmes, jest to wagon z pancernej blachy używany do nadzwyczaj cennych przesyłek. Przed odejściem pociągu kontroluje się towar i porównywa z księgami. Po zamknięciu na dwa różne zamki, jeden klucz otrzymuje prowadzący pociąg, a drugi zapieczętowany posyła się naczelnikowi stacyi danego miejsca. Prócz tego dziurki od klucza pieczętuje się osobno, a przy próbie ewentualnego włamania dzwonki elektryczne alarmują cały personal i pociąg staje.

Dziś temu ośm dni wysłaliśmy brylanty z centralnej stacyi w Nowym Jorku. Z Chicago otrzymaliśmy pierwszą telegraficzną wiadomość, że wszystko w porządku, to samo z St. Louis, a tymczasem z St. Francisco telegrafuje nasz zarządzający filią, że kasetka doszła w najzupełniejszym porządku, lecz bez brylantów. Tak przedstawia się sam fakt, a teraz chcielibyśmy, mr. Holmes, usłyszeć pańskie zdanie.

— Moi panowie – zaczął Holmes – jest to dziwny wypadek, który mnie interesuje, a który chętnie obejmę. Złodzieje i zbrodniarze nie grają tu, zdaje się, roli, sądzę raczej, że chodzi tu o nadużycie zaufania. Jak sam pan mówił z niebieskiego wagonu ukraść ich było niemożliwe, ja sam to także potwierdzam, kradzież musiano popełnić albo przed wysłaniem, albo po nadejściu kasetki.

Panowie potwierdzili skinieniem, poczem detektyw mówił dalej:

— Muszę jeszcze postawić niektóre pytania celem dokładnego poinformowania się. Kto pakował brylanty do kasetki i kto był przy tem obecny?

— Tak ja, jak mr. Schwab i mr. Knollis — odpowiedział mr. Tiffany.

— Gdzie się odbywało pakowanie?

— Tu w tym pokoju i na tem biurku.

— Co się stało z kluczem od tej kasetki?

— Schowałem go do swojej kieszeni — rzekł Tiffany.

— Czy jest tam jeszcze?

Tiffany wyjął z portmonetki płaski klucz.

— Pozwoli pan, że go wezmę? — rzekł detektyw — jesteś pan pewnym, że go nikt ani na sekundę nie miał u siebie, ani też na chwilę skrzynka ta nie została bez nadzoru?

— Absolutnie nie — odrzekł Tiffany — ani na chwilę od niej nie odchodziliśmy, sami osobiście odwieźliśmy ją automobilem na kolej i w naszej obecności zapieczętowano wagon.

— Wobec tego — rzekł detektyw po długiem milczeniu — brylanty odeszły w najzupełniejszym porządku, mr. Tiffany, jest to nadzwyczaj zawikłany wypadek, dotychczas nie mam żadnego zaczepnego punktu, to jednak będzie dla mnie pobudką do gorliwszego poszukiwania.

Po godzinie wzajemnego jeszcze roztrząsania tej sprawy, z czego Holmes nie był mądrzejszym niż dotąd, pożegnał Holmes tych panów i powrócił do hotelu.

ROZDZIAŁ II.

Nowa zagadka.

Niedługo potem Harry zameldował mu przybycie jakiejś młodej damy. Była to młoda, piękna, czarnowłosa kobieta. Holmes na pierwszy rzut oka poznał, że należy do lepszej sfery. Rysy jej zdradzały inteligencyę. Ubrana była w prosty, elegancki kostyum spacerowy. Podeszła bliżej i podała Holmesowi piękną, małą rączkę.

— Czy mam zaszczyt mówić z samym mr. Holmesem? — spytała, jakby obawiając się być wysłuchaną przez kogo innego.

— Tak jest, łaskawa pani, proszę zająć miejsce. Czem mogę pani służyć?

— Jestem strasznie zaniepokojona — rzekła młoda dama, której usta nerwowo drżały — a ponieważ nie wiem, co mam robić, pospieszyłam do pana. Mówiono mi zewsząd, że jesteś pan nietylko sławnym detektywem, ale także i dobrym człowiekiem, który biednej sierocie nie odmówi dobrej rady i pomocy.

Holmes skłonił się.

— Komplement pani bardzo mi pochlebia — rzekł — uczynię chętnie, co będę mógł. Nabierz pani do mnie zaufania i opowiedz szczerze, co zaszło.

Dama milczała chwilę.

— Jak mam to panu przedstawić? Nie wiem doprawdy, od czego zacząć.

— Musi mi pani opowiedzieć wszystko od początku do końca — odrzekł Holmes. — Nie pomiń pani nawet najmniejszej drobnostki, choćby się ona wydawała pani nic nie znaczącą. A teraz słucham.

Po chwili namysłu zaczęła młoda dama opowiadać.

— Nazywam się Réné Leroi, mam lat dziewiętnaście, urodziłam się w Paryżu. Rodzice moi byli bardzo bogaci, przynajmniej tak się wydawało, ponieważ żyli na wielką skalę. Pewnego dnia ojciec mój zachorował i umarł nagle. Wkrótce poszła za nim matka i pozostało nas dwoje sierót na świecie. W testamencie wyznaczył nam ojciec opiekuna; był to najlepszy jego przyjaciel, Robert Lemoine. Po pogrzebie oświadczył nam opiekun, że pomimo, iż rodzice nasi prowadzili wielki dom, znacznego majątku nie pozostało. Wystarczy nam obojgu może na życie, ale nie w dotychczasowy sposób.

— Poczekaj pani — wtrącił Holmes — ile lat pani wtedy miała?

— Było to mniejwięcej siedm lat temu, ja miałam lat dwanaście, mój brat Roger czternaście. Zaczęło się wtedy dla nas nie najprzyjemniejsze życie. Opiekun, dla nas bardzo niesympatyczny, oddał mnie na zwyczajną pensyę, a brata do interesu. Tak było około dwa lata, aż pewnego dnia za jakieś przestępstwo pociągnęli naszego opiekuna przed sąd. O co wtedy chodziło, nie wiem, niech pan nie zapomina, mr. Holmes, że byliśmy wtedy oboje dziećmi. Czy mój brat o czem wiedział, nie wiem, dość że nasz opiekun został uwolniony od skargi. Musiała to dla niego być w każdym razie bardzo nieprzyjemna rzecz, gdyż wkrótce zawołał nas do siebie i doniósł, że wkrótce wywędrujemy do Ameryki. Pytaliśmy go o przyczyny, lecz nie dał nam żadnych wyjaśnień, tylko przedstawił nam życie w Ameryce w tak wspaniałych barwach, żeśmy powiedzieli „dobrze“ i koniec.

— Jak długo jesteście w Ameryce? — spytał Holmes.

— Prawie cztery i pół roku — odpowiedziała Réné — a może i dopiero cztery lata.

— A więc miała Pani wtedy lat piętnaście a brat siedmnaście?

— Tak jest.

— Czy wylądowaliście w Nowym Jorku?

— Tak jest.

— Dobrze, proszę więc mówić dalej — rzekł Holmes i przybrał zwykłą swoją postawę.

— Po wylądowaniu urządziliśmy sobie w Harlem na ulicy 133 małe mieszkanie. Roger otrzymał posadę w wielkim magazynie, podobnie jak w Paryżu.

Czas upływał. Stosunek między nami a opiekunem stawał się coraz nieznośniejszy. Między Rogerem a opiekunem, zachodziły często różnice zapatrywań, a nawet sprzeczki. Roger zażądał rachunku z jego majątku, na co opiekun jednak odpowiedział, że nie ma prawa o to pytać, dopóki nie będzie pełnoletnim. Wtedy otrzyma, co mu się należy. Roger popadł w złe towarzystwa i pozostawał często do północy poza domem. Ja bardzo się tem martwiłam, podczas gdy opiekun surowo go nieraz napominał.

Lecz te stosunki nie były wcale przyjemne. Przed dziesięcioma dniami nie przyszedł Roger wieczorem do domu. Byliśmy do tego przyzwyczajeni i nie robiliśmy sobie z tego nic. Ale skoro następny dzień i noc Roger się nie pokazał, zatrwożyliśmy się. Chciałam iść na policyę, ale opiekun nie chciał o tem ani słyszeć. Jako przyczynę tego podawał, że Roger może co zbroił i kiepską oddalibyśmy mu przysługę, donosząc policyi o jego zniknięciu.

Dałam się tem przekonać i zaniechałam doniesienia.

— Dlaczegoż pani bała się z kim innym mówić, jak ze mną?

— Ponieważ nie chciałabym, by mój opiekun dowiedział się, iż przedsięwzięłam jakiekolwiek kroki.

— Całkiem słusznie — potwierdził Holmes. — Zachowuj się pani wobec niego z rezerwą i nie wtajemniczaj go w nic. Pański brat przeto, jak zrozumiałem, oddalił się tego dnia, nie zostawiając po sobie żadnego śladu.

— Tak jest, od dziesięciu dni znikł bez śladu. Nie donieśliśmy o tem policyi, ale nie mogłam wytrzymać i przyszłam do pana, mr. Holmes, z prośbą o pomoc. Mam pieniądze i mój opiekun panu — —

Holmes uczynił przeczący gest ręką i rzekł:

— Moja łaskawa panienko, skoro młodym ludziom, nie wiedzącym dokąd się udać, pomódz mogę, jestem zawsze gotów i to robi mi przyjemność. A teraz powiedz mi pani, czy w postępowaniu brata względem opiekuna nie zauważyłaś czegoś szczególnego, lub odwrotnie? Mówiła pani, że z początku nie żyli dobrze ze sobą. Czy ten stosunek nie zmienił się w ostatnich czasach?

Po chwili odrzekła młoda dama:

— Teraz, skoro pan zwraca na to moją uwagę, przypominam sobie, że sprzeczki między nimi w ostatnich czasach zdarzały się coraz rzadziej, a w końcu zupełnie ustały.

— Według pańskiego opisu muszę pańskiego brata uważać za bardzo energicznego człowieka, który stara się swą wolę innym narzucić. Teraz powiedz mi pani, czy w ostatnim czasie się nie zmienił, czy nie stał się wobec opiekuna uleglejszym?

— I to prawda — rzekła Réné zdumiona. — Jak pan przyszedł do tych pytań?

— To leży w moim zawodzie, by niejedno zgadywać. Czyś pani nie zauważyła żadnych innych zmian?

— Owszem, czem dłużej się zastanawiam, tem więcej przychodzi mi na myśl, że mój brat w ostatnich czasach zdawał się wprost uczuwać trwogę

przed opiekunem. Nieraz spojrzenie jedno go przestraszało. Dawniej na to nie zwracałam uwagi.

— Czy nie ma pani mi już nic do powiedzenia?

— Nic, zupełnie nic.

— Dobrze — odrzekł Holmes — dowiem się przedewszystkiem o brata w interesie, w którym pracował. Jeśli mam wypowiedzieć moje zdanie, sądzę, że brat pani poprostu wyrwał się z pod oka opiekuna i obija się gdzie na zachodzie Ameryki, co zresztą nie szkodzi, jeśli młody człowiek przepędzi parę lat w szkole życia. Pomimo to nie pominę niczego i przedewszystkiem przy najbliższej sposobności przyjrzę się waszemu opiekunowi.

Niechże więc pani idzie spokojnie do domu i nie da nikomu poznać, że u mnie była. Za dwa, lub trzy dni niech mnie pani tu odwiedzi o tej samej godzinie.

Temi słowy pożegnał młodą damę.

Usiadł następnie przy biurku i zamyślił się nad całym wypadkiem. Mimowolnie nasuwała mu się myśl, czy kradzież brylantów Tiffanyego i zniknięcie Rogera Leroi nie stoją ze sobą w związku. Ostatni zniknął przed dziesięciu dniami z domu, brylanty wyekspedyował Tiffany przed ośmiu dniami.

Ależ to wykluczone — mruczał Holmes. — To tylko przypadek, że mi obydwa wypadki oddano w ręce równocześnie.

Pomimo jednak, że usiłował myśli te odpędzić od siebie, tłoczyły się one coraz natrętniej.

Czyżby Roger Leroi i kradzież nie miały między sobą związku?

ROZDZIAŁ III.

Morderstwo.

Ściemniało się już, gdy Szerlok Holmes wstał od biurka. Był blady i wyczerpany, oraz bardzo źle usposobiony, ponieważ dotychczas nie doszedł do żadnego rezultatu.

Myśl o łączności obu wypadków nie opuszczała go ani na chwilę, a przecież nie mógł dojść do żadnej logicznej między nimi styczności.

Wzburzony chodził po pokoju, gdy nagle dzwonek telefonu powołał go do aparatu.

— Czego pan sobie życzy? — spytał, ująwszy słuchawkę. — Mam pójść na główną stacyę policyjną?

— Tak jest, mr. Holmes — odpowiedział głos — to szef prosi, byś pan przybył natychmiast, ponieważ chodzi o nadzwyczaj ważną sprawę.

Wielki detektyw wyprostował się dumnie i rzekł stanowczym głosem:

— Powiedz pan szefowi, że jeśli chce mówić z mr. Holmes, musi sam przyjść do niego. Nie mam czasu!

— Proszę, poczekaj pan chwilę — brzmiała odpowiedź i za kilka sekund usłyszał:

— Szef prosi pana, byś zechciał poczekać w swem biurze, za chwilę będzie u pana.

— Do kata — zawołał detektyw, zacierając ręce — nie mogą sobie rady dać bezemnie.

Po kwandransie prowadzili już ze sobą obaj panowie poważną rozmową.

— Mój kochany kolego — zaczął szef policyi nowojorskiej — stoimy znowu przed zagadkowem morderstwem, zdarzającem się od czasu do czasu, na które nie mamy wyjaśnienia. Wypadek rozgrywa się tylko po części w Nowym Yorku, ale wszystko wskazuje na to, że czyn popełniony był tutaj. Sprawa jest tak tajemnicza, że prawie rozwiązania jej spodziewać się nie można i z tej racyi cały wypadek chcą nam wpakować na kark.

— O cóż więc chodzi? — zapytał Holmes.

— O najdziwniejsze morderstwo, o jakiem mi kiedykolwiek zdarzyło się słyszeć. Dziś rano w San Francisko — — —

Na słowa San Francisco, Holmes nadstawił uszu. Wszystko, co z tem imieniem się łączyło, interesowało go dzisiaj nadzwyczaj.

— W San Francisko — powtórzył szef — odkryto dziś w szczególny sposób trupa 21 letniego mężczyzny. Był zupełnie nagi i zapakowany w skrzyni.

— No, a cóż to pana obchodzi tu w Nowym Yorku? — zapytał Holmes.

— To też to właśnie — odrzekł szef — skrzynia pochodzi bezwątpienia z Nowego Yorku.

— Oooo, a cóż za tem przemawia?

— Głównie ta okoliczność, że na jednej z desek napisane jest „Nowy York“. Musiała służyć przedtem do przesyłania towarów, wskazuje na to wygląd. Zamek jest zepsuty, a ona związana sznurami, Poprzednie napisy są usunięte, tylko deska z napisem Nowy York została odwrócona tak, że napis ten jest teraz wewnątrz.

Wedle tego zdaje się ona pochodzić z Nowego Yorku i na tem się opierając, stara się policya z San Francisko zwalić ten wypadek na nas.

— To przecież nie dowód, że sprawa ta tu należy.

— Takie i moje zdanie — odrzekł szef policyi.

— Jak odkryto trupa? — spytał Holmes.

— Skrzynia była zaopatrzona pełnym adresem i przyszła do St. Francisco jako regularny fracht. Gdy ją chciano oddać, ani adresata, ani ulicy takiej nie znano. Zdaje się przeto, że mordercy w ten sposób chcieli się pozbyć swej ofiary.

— Przecież — odrzekł Holmes — zawsze ryzykowna to rzecz, jeśli skrzynia nadaną została w Nowym Yorku, przypuszczać należy, iż nadawca tam się znajduje.

— Tak, ale gdzie go znaleźć, może dotychczas jest już w Europie. Zresztą to tylko przypuszczenie, że nadano ją w Nowym Yorku.

— Do licha, bądźcie z tego mądry! — zawołał Holmes niecierpliwie — urzędnicy kolejowi muszą przecież pamiętać skąd przyszła.

— Ba — rzekł szef — ciekawe właśnie jest to, że niema żadnego listu frachtowego. Urzędnicy chcieli brak frachtu ukryć, a ponieważ skrzynia miała pełny adres, nie potrzebowali go nawet, skoro jednak nie znaleziono adresata i skrzynia się wróciła, musiano powiedzieć. Pomimo poszukiwań frachtu nie znaleziono i celem dowiedzenia się czegoś bliższego z zawartości, skrzynię otworzono. Wtedy odkryto trupa.

— Wypadek to tak zawiły — rzekł Holmes — z takiem wyrafinowaniem przeprowadzony, że aż wątpić należy w rozwiązanie go. Jak mówiłem, nie radzę się panu tem zajmować.

— Miałem rzeczywiście ten zamiar i nie chcę odpowiedzialności brać na siebie. Chciałbym jednak policyi w San Francisco dopomódz, dlatego proszę pana o spróbowanie odkrycia miejsca pochodzenia tej skrzyni.

— Musiałbym ją obejrzeć, gdyż opis nie wystarczy — rzekł Holmes.

— Całkiem słusznie — potwierdził szef — telegrafowałem przeto o przysłanie tejże. W ciągu sześciu dni może już tu być.

— Dobrze — rzekł Holmes z ukłonem — obejmuję tę sprawę, jakkolwiek mało obiecuję sobie po tym wypadku. Czy może mi pan udzielić bliższego opisu trupa?

— Właśnie mam ten zamiar — rzekł szef — dochodzi mianowicie jeszcze jedna okoliczność, która całą sprawę utrudnia. Jak już powiedziałem, jest to ciało 21 letniego młodego człowieka, bez żadnych znaków szczególnych. Ponieważ było zupełnie nagie, nie można było nawet agnoskować.

— Jakież szczegóły okazuje twarz? — zapytał detektyw.

— Żadnych — odrzekł szef – ponieważ głowy niema.

Holmes skoczył na równe nogi.

— Głowy niema? — powtórzył — to czyni sprawę jeszcze trudniejszą i bardziej tajemniczą.

Na to szef wyjął z kieszeni telegram i podał go Holmesowi.

— Mój kochany panie kolego — rzekł — ponieważ widzę, że sprawa ta budzi w panu szczególne zainteresowanie, weź pan, proszę, pod uwagę treść tego telegramu.

Holmes rozwinął papier i czytał:

San Francisco 20 sierpnia 1907.

Do szefa nowojorskiej tajnej policyi.

W załączeniu do telegramu dzisiejszego, dotyczącego znalezienia bezgłowego trupa męskiego w skrzyni, prosimy uprzejmie o zwrócenie się z tą sprawą do mr. Holmesa, ażeby tę sprawę objął. Koszta nie grają roli.

— Widzisz pan, panie kolego – rzekł szef – chcielibyśmy sprawę tę objąć, ale się nie zblamować. Pan jesteś jedynym człowiekiem, który tę sprawę może rozświetlić. Wyznaczenie honoraryum pozostawiamy panu. — — –

Holmes podał rękę szefowi policyi i wstrząsając nią silnie, rzekł:

— Dziękuję panu, panie kolego i przyjmuję pańskie zlecenie. Wiem o tem, że czeka mnie żmudna praca, gdyż będę musiał jeździć między New York a San Francisco i pracować dzień i noc. Jeśli mi się uda mordercę, lub morderców wynaleźć, oczekuję stosownego honoraryum, którego wysokość sam oznaczę.

Szef zaśmiał się.

— Masz pan racyę, panie Holmes. Sprawa jest przeto załatwiona. Jeśli pan jednak wbrew oczekiwaniom rezultatu nie osiągnie?

— Nie żądam nic — rzekł detektyw.

— To znaczy, że się pan spodziewasz wyśledzenia sprawcy. Idę teraz do domu, by donieść do San Francisco, że pan sprawę obejmujesz.

To mówiąc, pożegnał się z detektywem, który zapaliwszy ulubioną fajeczkę, zapadł w zadumę.

Nagle wyjaśniła mu się twarz.

Zdaje mi się, że widzę światło — mruknął. — Sprawdzą się moje przypuszczenia, to pokażę światu, co znaczy być prawdziwym detektywem.

ROZDZIAŁ IV.

Opiekun i pupilka.

W swym małym pokoiku na ulicy 133 siedziała Réné Leroi zagłębiona w myślach. Rozmyślania te przerwało jej zapukanie do drzwi. Na progu stanął jej opiekun, czterdziestopięcioletni mężczyzna. Był wysoki, szczupły, szpakowate włosy były krótko przycięte, a gładko wygolona twarz miała myślący wyraz. Kości policzkowe silnie wystające, a małe oczka ocienione były krzaczastemi brwiami.

— Dzień dobry Réné! Czy wolno wejść? — zapytał ze wstrętnym grymasem.

— Chciałam właściwie udać się już na spoczynek — odpowiedziała Réné trwożliwie. — Jeśli mi jednak masz co do powiedzenia, wuju, to proszę. Może słyszałeś co nowego o Rogerze?

Wuj przysunął krzesło tuż do dziewczęcia, które jednak natychmiast się usunęło.

— Obawiasz się mnie, moje dziecko? — mruknął ponuro — lecz poczekaj gołąbku, nadejdzie czas, że będziesz chętnie korzystać z mojej pomocy!

Natychmiast jednak zmienił ton i czule dodał:

— Tylko nie myśl źle, Réné, ty wiesz, że nie myślałem tego. Przykro mi, gdy widzę, jaki brak zaufania okazujesz dla najlepszego przyjaciela twego zmarłego ojca. Mam nadzieję, że pewnego dnia poznasz, iż nikt na świecie, nawet twój brat Roger, nie dba tak o ciebie, jak ja.

— Proszę! — ośmieliła się wtrącić Réné. — jest dobrym człowiekiem, nie powinieneś mu w jego nieobecności ubliżać!

— Bardzo dobrym — powtórzył opiekun szyderczo — prawdopodobnie zbiegł z jakąś dziewką i obija się gdzie na zachodzie.

— Twoje przypuszczenia są mi obojętne — odpowiedziała Réné — czy wiesz coś pewnego? Czy szuka go policya?

— Policya nie będzie się nawet nim zajmować — rzekł opiekun. — Pocóżby miała go szukać, nic nie zbroił, tylko po prostu uciekł.

— Tyś jednak doniósł policyi o jego zniknięciu, wuju? — zapytała Réné.

— No tak, naturalnie, choć uważam to za niepotrzebne — odpowiedział opiekun, patrząc badawczo na dziewczynę. — Gdybym ja tego nie uczynił, tybyś napewno doniosła policyi o zniknięciu twego brata, nieprawdaż Réné?

Réné chciała właśnie odpowiedzieć potakująco, gdy spostrzegłszy czyhający wzrok opiekuna, instynktownie się wstrzymała.

— Nie, bez twego pozwolenia nie uczyniłabym tego, ty jesteś mym opiekunem i musisz wiedzieć, co jest najwłaściwsze.

— Jesteś jednak lepszem dzieckiem niż mymyślałem — rzekł, starając się okazać jak najczulszym.

Nim się Réné mogła obronić, uchwycił jej rękę i zatrzymał.

— Patrz Réné, twój brat był zawsze nicponiem. Wiem, że się o niego bardzo troszczysz, ale miejmy nadzieję, że wkrótce o nim co usłyszymy. Tyś natomiast była zaswsze dobrą i posłuszną i bardzo cię lubię. Bardzo mi na tem zależy, by los twój był zapewniony. Niestety rodzice, twoi pozostawili niewiele majątku, gdy tymczasem ja jestem bogatym.

Przerwał i spojrzał bacznie na Réné.

Po chwili mówił dalej.

— Czyś ty myślała kiedy o zamążpójściu, moje dziecko?

Réné zbladła i wyrwała mu swą rękę.

— Nie — rzekła — nigdy o tem nie myślałam — jestem taka jeszcze młoda i nie kocham nikogo.

— Taka młoda?! — rzekł opiekun — głupstwo! Dziewiętnastoletnia dziewczyna za młoda do zamążpójścia? Przeciwnie, to wiek właściwy.

Spojrzał na nią bazyliszkowemi oczkami i ciągnął dalej:

— Właściwy wiek! A co się tyczy miłości, czy sądzisz, że ludzie żeniący się zawsze kochają? Mało kto, a jabym powiedział nikt. W małżeństwie przyzwyczaja się człowiek wzajemnie do siebie, a z czasem nawet przychodzi i miłość.

Gdyby się znalazł człowiek, któryby cię prawdziwie kochał, któryby ci zapewnił przyszłość bez troski i zapewnił o wiecznej wierności i miłości, czy wyszłabyś za tego człowieka?

Réné potrząsnęła głową.

— Nie — rzekła stanowczo — wyjdę tylko za tego człowieka, którego pokocham.

— Ach głupstwo, dzieciństwo, zamki na lodzie — mówił opiekun — główną rzeczą w życiu jest, jak powiedziałem, spokojna przyszłość. Cobyś ty np. powiedziała, gdybym ci całe moje bogactwa złożył u stóp i prosił o rękę? Jestem wprawdzie już starszym człowiekiem w porównaniu z tobą, ale umiałbym dobrze zapewnić ci przy-

szłość i nie potrzebowałabyś się obawiać, by ci kiedy źle być miało. Prócz tego byłem najlepszym przyjacielem twego ojca i dzieliłem dolę i niedolę twojej rodziny.

— Nie! — zawołała Réné i skoczyła wstecz.

— Nie, nigdy, raczej śmierć, niż być twoją żoną!

Nastała przykra cisza, przez chwilę zdawało się, że opiekun rzuci się na nią, opanował się jednak i rzekł sarkastycznie:

— Przedewszystkiem nie potrzebujesz tak krzyczeć, nie jestem przecież głuchym.

— To jest wdzięczność za moją troskliwość — zaczął dalej — nie jesteś tedy lepszą od twego brata Rogera. Ale — kochane dziecię — tak łatwo zbyć się nie dam! Są jeszcze środki, by cię zmusić, dam sobie z tobą radę! Na razie daję ci 24 godzin do namysłu!

Sięgnął do kieszeni i wyjął papier jakiś.

— Patrz tu — — wiesz, co to jest?

Réné nie ruszyła się z miejsca.

— Ha, skoro nie chcesz, to ci powiem. To jest dyspensa na ślub nas obojga, którą uzyskałem dzisiaj i skutkiem tego możemy pobrać się każdego dnia.

Potrzebuję tylko sprowadzić księdza, któryby nas zaślubił i będziemy mężem i żoną. Cóż ty na to?

— Nigdy, przenigdy! — rzekła Réné uparcie — nim zostanę twoją żoną, raczej umrę.

— Nie bardzo to dla mnie pochlebne — rzekł opiekun szyderczo.

— Ale tego nie zrobisz, zostaniesz moją żoną, gdyż inaczej być nie może. Musisz mnie słuchać i nic na świecie nie może zmienić tego, com postanowił. W przeciągu 24 godzin musisz i będziesz moją żoną.

Wstał i zbliżył się do dziewczęcia, które trwożnie schroniło się w róg pokoju.

— No powiedz, dasz mi buziaka na pożegnanie?

Zamiast odpowiedzi, przycisnęło dziewczę konwulsyjnie obie ręce do twarzy.

— No nie, to nie! — zaśmiał się opiekun szyderczo — już ty swoje postępowanie zmienisz. Samobójstwa nie popełnisz, bo w tem moja głowa. W oknie, jak widzisz są kraty, a drzwi zamknę na klucz. Do widzenia więc, lube dziewczę. Rano albo raczej w południe przyjdę znowu, będziesz pewnie głodna.

Naturalnie teraz nie dostaniesz jeść. Tak moja Réné, są jeszcze ludzie, których trzeba zmuszać do szczęścia, a do tych należysz ty. Do miłego zobaczenia się, kotku!

Skłonił się, skręcił gaz i wyszedł.

Réné słyszała dwa razy zatrzaskujący się zamek.

Prawie kwadrans czekała nie śmiejąc się ruszyć. Potem z rozpaczliwym okrzykiem rzuciła się do drzwi. Zamknięte były mocno. Wreszcie pobiegła do okna i wyjrzała. Wychodziło ono na puste podwórze. Otaczały je puste, smutne mury. Zdawało się jakby okna tego tylko mieszkania wychodziły na dziedziniec.

Chciała wołać o pomoc, a przypomniała sobie bezużyteczność tego, ponieważ niktby jej nie słyszał. Zrozpaczona rzuciła się łkając na łóżko.

Jak długo leżała, nie miała pojęcia, gdy nagle usłyszała jakiś szmer.

Zdawało się jej, że to złudzenie, gdy jednak szmer się powtórzył, podeszła ku oknu i usłyszała wyraźne lekkie pukanie. Pokonywując strach otworzyła okienko, wiedziała bowiem, że nikt się tędy wkraść nie może z powodu krat. Nabrała więc otuchy, że tędy jakaś jej pomoc nadchodzi.

Przerażona odskoczyła wstecz, gdy mała jakaś postać skoczyła na deskę okna. Z początku sądziła, że to kot, wkrótce jednak oczy jej przyzwyczajone już do ciemności, rozpoznały maleńką małpkę z kartką u szyi. Jednem pociągnięciem urwała ją, rzuciła na ziemię i jednym susem skoczyła na okno.

Réné wychyliła głowę o ile jej na to pozwalały kraty i patrzyła za zwierzątkiem. Małpka po rynnie zesunęła się powoli na ziemię, potem zdawało się jej, że wdrapała się na jakąś ciemną postać i wszystko znikło.

Réné odeszła od okna — ginęła z niecierpliwości przeczytania listu. Lecz musiała czekać aż do rana.

Godziny wolno upływały za godzinami, aż nareszcie na wschodzie niebo szarzeć zaczęło. Réné natężając wzrok czytała:

„Masz pani przyjaciela, który jej strzeże i chroni. Słyszałem wszystko i pani nie opuszczę. Jutro gdy opiekun do pani przyjdzie, zgódź się pani na małżeństwo. Przyprowadzi on księdza, poddaj się pani bezwarunkowo temu, co on ci poleci i daj się spokojnie zaślubić. Tylko bez obawy, jestem przy pani. Spal pani, lub jeśli się nie da, zniszcz pani natychmiast tą kartkę.

Najlepiej podrzyj na maleńkie kawałki i połknij. Jeszcze raz: żadnej obawy, strzegę pani!

Holmes“.

Rénė prawie oczom nie wierzyła, odczytała kilkakrotnie kartkę, dopokąd treści nie wbiła sobie w pamięć. Potem, jak jej kazano, zniszczyła list.

ROZDZIAŁ V.

Pomoc w potrzebie.

Upłynęło kilka godzin, opiekun stanął we drzwiach. Rénė uciekła instynktownie w róg pokoju.

Opiekun starał się być uprzejmym. Wszedł do pokoju z tacą w ręku.

— Cóż, gołąbku — zapytał — namyśliliśmy się? — Czy głód dokonał swojego, lub może masz ochotę czekać dłużej?

Rénė nie dała żadnej odpowiedzi, podszedł więc bliżej i zapytał:

— Masz do wyboru. Co chcesz? Bulion i bułkę z szynką, czy głód?

Gdy Rénė jeszcze nie odpowiadała, postawił tacę na stole i rzekł:

— Chciałbym mieć odpowiedź — rzekł szorstko — nie mam czasu dłużej się tu zatrzymywać! Czy chcesz zezwolić na małżeństwo, czy też wolisz czekać do jutra?

Rénė spuściła oczy w dół i rzekła:

— Jeśli na to nalegasz, to muszę. Jestem w twojej mocy, poco mam się dłużej męczyć.

— Chcesz więc! — zawołał opiekun ucieszony.

Rénė skinęła głową.

— Widzę, że jesteś rozsądnem dzieckiem — rzekł opiekun, głaszcząc ją po twarzy i byłby ją pocałował, lecz Rene zakryła twarz rękami.

— No — zaśmiał się — arcymiłą narzeczoną nie jesteś, ale to się zmieni. Teraz posil się tem, co ci troskliwy opiekun przyniósł. Pozwolę sobie jeszcze cię zamknąć, ale wkrótce tu wrócę z księdzem i odprawimy wesele!

To rzekłszy wyszedł, zamknąwszy drzwi za sobą.

Rénė odetchnęła.

Ufna w obietnicę Holmesa usiadła najspokojniej do posiłku.

Opiekun tymczasem zszedł ze schodów i stał niezdecydowany na ulicy.

— Zmiękła prędzej, niżbym przypuszczał — mówił do siebie.—Wszystko się składa wedle życzenia. Tylko pytanie, gdzie znajdę księdza, któryby poszedł do mnie na górę dać ślub. Zbyt sumienny nie powinien być i nie powinien zadawać niepotrzebnych pytań. Najlepiej zrobię jeśli pójdę do jakiego lokalu i wybiorę z księgi adresowej księdza z najuboższej dzielnicy. Sądzę, że z takim się dogadam!

Wolnym krokiem podążył przez ulicę, nie uszedł jednak daleko, gdy spostrzegł człowieka w czarnej sutannie, który miarowym krokiem szedł przed nim w pewnej odległości. Przyspieszył kroku i wkrótce się z nim zrównał.

Suknia księdza miała tu i ówdzie na sobie dziury, a rękawy i plecy świadczyły o długiem jej używaniu.

— Zbyt dostatnio ten czcigodny ojciec nie wygląda — mruczał pan Lemoine. — Może byłby to taki, jakiego szukam. Nie szkodzi spróbować!

Poklepał duchownego po ramieniu i zapytał:

— Przebaczcie, czcigodny ojcze, jestem obcy w Nowym Yorku i chciałbym się dowiedzieć, którędy zajdę do kościoła św. Trójcy.

Duchowny odpowiedział uprzejmie:

— Mamy przypadkiem jedną drogę, będzie mi bardzo przyjemnie panu tam towarzyszyć.

Z podziękowaniem przyjął opiekun propozycyę i poszli razem.

— Chce pan zapewne Mszę św odprawić lub wysłuchać — zaczął rozmowę.

— Chcę wysłuchać — rzekł ksiądz — dawno już Mszy nie odprawiałem.

— Dlaczego?

— Jestem biednym księdzem — odrzekł tenże. — Biedacy z mojej dzielnicy na wschodniej stronie, nie mają czasu na słuchanie Mszy św. Ludzie ci muszą ciężko pracować, a chcąc ich pocieszać, nie mogę czekać aż przyjdą do kościoła, lecz sam ich muszę odwiedzać.

— I ja dawno już Mszy św. nie słuchałem.— Ze mną tak samo jak z tymi biedakami, muszę ciężko pracować na utrzymanie. Dziś jednak chętnie idę do kościoła, gdyż chodzi o wyznaczenie godziny mojego ślubu. Może mi pan powiedzieć, ile taka ceremonia będzie kosztować?

— To zależy — rzekł ksiądz — sto dolarów będzie pan musiał poświęcić.

Potem półgłosem, tak jednak, że opiekun dosłyszał, rzekł:

— Sto dolarów, mój Boże, ilebym mógł za te pieniądze zrobić dla moich biednych.

— To masz pan racyę — rzekł opiekun, bio-

rąc pod ramię księdza, zmuszając go do wstrzymania się.

— Dlaczegoż mam w ten sposób wydać sto dolarów? — zapytał jakby tknięty nową myślą.

— Właśnie dzisiaj chciałbym uczynić co dobrego. Na ceremonii wiele mi nie zależy, chcę tylko wziąć ślub.

Wstrzymał się na chwilę i dodał:

— Ojcze, nie wiem, czy mogę się ośmielić, zrozumiesz chyba tak, jak ja to myślę. Chodź do do mojego mieszkania i dokonaj obrzędu; z przyjemnością dałbym sto dolarów na ubogich.

Duchowny zdawał się przez chwilę namyślać.

— Świętemu Kościołowi jest wszystko jedno, gdzie Jego zastępca, ksiądz, poświęci związek małżeński i nie wątpię, że spólnie dokonamy dobrego dzieła.

To mówiąc, podał ksiądz towarzyszowi rękę i dodał:

— Chodźmy do mieszkania pańskiego i poświęcimy związek.

Lemoine uścisnął podaną prawicę, kontent z tak łatwego targu.

W kilka chwil potem Réné zobaczyła wchodzących do siebie obu panów.

Na nowo opanowała ją rozpacz, lecz przypomniała sobie słowa Holmesa:

— Zgódź się pani na wszystko, jestem w pobliżu.

— Więc — zaczął opiekun, zamykając za sobą drzwi — jesteśmy już. Przyprowadziłem czcigodnego księdza, który nas zaślubi — i z eleganckim ruchem ręki dodał:

— Ojciec —?

— Korelli — przedstawił się tenże.

— Ojciec Korelli i panna Leroi.

— Moja kochana panno Leroi — zwrócił się Korelli do narzeczonej — będzie to dla mnie wielką przyjemnościa, mocą mej władzy duchownej połączyć życie dwojga kochających się ludzi. Czy mogę prosić o pierścionki?

Opiekun sięgnął do kieszeni od kamizelki i podał je.

— Dobrze — rzekł ksiądz — masz pan też wino i szklankę pod ręką?

Ku zdziwieniu Réné wszystko było przygotowane.

Ksiądz przystąpił niezwłocznie do świętego obrzędu.

Starał się kościelne ceremonie tak uroczyście przedstawić jak tylko się dało.

Po odmówieniu łacińskich pacierzy, zwrócił się do narzeczonych a przedewszystkiem do Réné.

— Czy chcesz Ernesta Lemoine pojąć za małżonka? — zapytał.

Réné na chwilę zachwiała się, jeśli powie „tak“ będzie poślubioną opiekunowi. Przypomniała sobie jednak słowa: „Zgódź się pani na wszystko!“ i ślepo wierząc w Holmesa odpowiedziała silnie: „tak!“

Teraz zwrócił się ksiądz do opiekuna.

— Chcesz pan, Erneście Lemoine, pojąć za żonę Réné Leroi?

— Tak! — rzekł opiekun, starając się o ile możności stłumić swą radość.

Ksiądz wzniósł obie ręce do pobłogosławienia związku, a dziewczę szlochając skryło twarz w chustkę. (Patrz rycinę tytułową).

Ksiądz zmienił pierścionki i rzekł:

— Teraz oznajmiam, że jesteście mężem i żoną, a teraz należy małżonkom napić się wina na pomyślność.

Wziął do ręki szklankę i butelkę.

— Możesz pan swej żonie powinszować!

Opiekun z radością zwrócił się do swej żony; gdy jednak chciał ją pocałować, ta broniła się wszelkiemi siłami.

Korelli skorzystał z tej chwili, wsypał coś do szklanki i nalał wina, poczem butelkę zakorkował i postawił na stole, a widząc Réné broniącą się, rzekł.

— No, widzę, moi państwo, że moja obecność krępuje panią, spełnijcie więc obrządek, a natychmiast się oddalę.

Wziął szklankę, pomruczał coś nad nią i podał opiekunowi.

— Proszę, pij pan!

Lemoine wziął szklankę i spojrzał na księdza zdumiony.

— Nie żona pierwsza? — zapytał.

— Mój panie — rzekł Korelli — zdajesz się pan być cudzoziemcem. W Ameryce tak przy Mszy św. jak i przy ślubie pije pierwszy oblubieniec.

— Co kraj, to obyczaj — rzekł Lemoine i pociągnąwszy spory haust wina, podał szklankę swej żonie.

Lecz zanim Réné zdążyła podnieść szklankę do ust, ksiądz wyrwał ją z jej ręki i postawił na stole.

— Tak, dość już tej komedyi — rzekł głosem zmienionym zupełnie, Réné jakby znanym.

Równocześnie zrzucił z siebie sutannę i stanął w eleganckim własnem ubraniu. Za sutanną poszła i peruka a z nią i tonsura.

Nareszcie połapał się opiekun i drżący z gniewu zapytał:

— Mój panie, co znaczy to świętokradztwo?

I wściekły skoczył na obcego, chcąc go zdusić za gardło, lecz dobrze wymierzony cios pięścią między oczy ubezwładnił go.

— Szerlok Holmes takich żartów nie lubi! — zawołał obcy.

Gdy Réné usłyszała to imię, wydała okrzyk zdumienia, opiekun natomiast cofnął się przerażony, ostatnia kropla krwi z twarzy zbiegła mu do serca.

— Pan jesteś detektywem Holmesem? — zapytał trwożliwie.

— We własnej osobie! — rzekł Holmes z ukłonem.

— I — — i — — co zamierzasz pan teraz uczynić?

— To, kochany przyjacielu, nic pana nie obchodzi — rzekł Holmes. — Narazie poczekam, aż proszek, którym wsypał do wina, działać zacznie.

— Mnie jest niedobrze — jęknął opiekun.

— Bardzo mi przyjemnie — zawołał Holmes.— Dla pańskiego uspokojenia powiem, że pan nie umrzesz; po sześciu lub siedmiu godzinach przyjdziesz znowu do przytomności. Jedynym skutkiem tego nienormalnego snu, będzie ból głowy i to porządny.

Opiekun nic więcej nie odrzekł; głowa opadła mu ciężko na poręcz krzesła i oczy zamknęły się.

Holmes przekonał się, czy Lemoine zasnął na dobre i rzekł do Réné:

— Stało się, na następne siedm godzin stał się nieszkodliwym. — Chodźmy panienko!

Przed domem wsiedli do fiakra i pojechali do biura detektywa.

Podczas drogi objaśnił jej rolę jaką odegrał by ją uratować i dodał: — będziemy musieli odbyć dłuższą podróż. Sądzę, że posiadam zupełne pani zaufanie.

Ze łzami wdzięczności w oczach chwyciła jego rękę, chcąc ją pocałować, na co nie pozwolił.

— Jakże się panu odwdzięczę? — szeptała wzruszona.

— To niepotrzebne — rzekł Holmes — jestem zadowolony, żem mógł pani pomódz.

— Chciałabym wiedzieć — rzekła po chwili— w jaki sposób dowiedział się pan o naszej rozmowie wczorajszej?

— W bardzo prosty sposób. Okno było nie zamknięte. Koło okna biegnie rynna. Ponieważ rozmawialiście głośno, słyszałem przez rynnę jak przez tubę każde słowo.

Jak zwykle w takich wypadkach miałem przy sobie w kieszeni moją maleńką tresowaną małpkę Gogo. Skorom spostrzegł, że w pani pokoju ciemno i opiekun musiał już wyjść, posłałem na górę Gogo z karteczką. Oto wszystko.

Załatwiwszy u siebie parę interesów, zawiózł Réné do jednego z pensyonatów i polecił jej nigdzie nie wychodzić ani nikogo u siebie nie przyjmować.

Równocześnie właścicielce pensyonatu nakazał, by pytającym się o pannę Leroi odpowiedziała, że taka dama nigdy u niej nie mieszkała i nie mieszka.

Następnie Réné pożegnał i przyrzekł ją często odwiedzać, oraz jeśliby się o miejscu pobytu brata dowiedział, natychmiast ją o tem zawiadomić.

ROZDZIAŁ VI.

Ślady.

Pewnego pięknego poranku do biura mr. Tiffanyego zgłosił się młody człowiek z prośbą o zajęcie. Skoro zarządzający oświadczył mu, że nie ma żadnego miejsca wolnego, zażądał widzenia się z szefem.

Musiał posiadać widać doskonały dar wymowy, gdyż rezulatatem rozmowy z szefem było engagement i Reno Berger zajął posadę jako rysownik projektów bižuteryjnych.

Jakkolwiek pracował dopiero trzy tygodnie, stał się już ulubieńcem wszystkich. Posiadał wielki talent, a jego prace liczyły się do najlepszych.

Między współpracownikami był 26-letni młodzieniec, do którego tenże szczególniejszą czuł sympatyę.

Pewnego wieczoru po skończonej pracy wszedł Reno Berger do jego pokoju i rzekł:

— Wiesz co Maks, dziś wyjdziemy razem — na co tenże chętnie się zgodził.

Pojechali do znanej sobie kawiarni na Broad-Way i w osobnym pokoiku, przy butelce dobrego wina, zaczęli omawiać swe zajęcia, przeszłość i przyszłość.

— Właściwie to dla Tiffanyego ryzykowną jest rzeczą przyjmować nowych pracowników — zauważył Reno. — Jeśli nie wie kogo ma, może mu się niejedno zdarzyć.

— Ach — rzekł Maks Kelly — tak źle znowu nie jest, pilnują dobrze.

— No — odrzekł Reno — a ta historya z brylantami?

— To wyjątkowy wypadek i z którym personal firmy właściwie nic wspólnego nie ma.

— A jednak — rzekł Reno — jestem tego zdania; mógł któryś z dawnych kolegów —

Maks przerwał mu, biorąc swych kolegów w obronę.

— Nigdy się nic nie zdarzyło, a personal u Tiffanyego zmienia się rzadko.

— Kiedy odszedł ostatni? — zapytał Reno.

— Nie mogę sobie przypomnieć, prócz jednego młodego człowieka, Rogera Leroi, który stosunkowo do innych krótko pracował i pewnego pięknego dnia niespodziewanie więcej już nie wrócił.

— Jak dawno temu?

— Będzie około sześciu miesięcy.

— Jak długo u was pracował? — spytał Reno.

— A prawda, dłużej niż początkowo myślałem, może około dwu lat. Był to człowiek spokojny, przyzwoity i cały swój zarobek oddawał opiekunowi.

— Opiekunowi? — spytał Reno.

— Tak — rzekł Maks — i często się na niego uskarżał. Opowiadał, że obchodzi się z nim źle i każdego centa mu odbiera. Rzeczywiście ten biedak nie miał nigdy centa przy duszy i gdybyśmy z nim nie żyli, nie zaznałby niego żadnej przyjemności, aż raz pewnego dnia powiedział, że ma pieniądze.

— O-o-o! skądże tak nagle?

Maks milczał trochę zakłopotany.

— Nie wiem — rzekł — czy powinienem o tem mówić.

Reno nalał szklanki, trącił się z Maksem.

— Sądzę — rzekł, stawiając szklankę na stole — że jesteśmy dobrymi, starymi przyjaciółmi i nie będziesz się przedemną ukrywał.

Maks wyciągnął rękę.

— Daj słowo — rzekł — że nikomu o tem nie powiesz.

— Zgoda!

— Otóż pewnego dnia tu w tym samym lokalu przy szklance wina opowiadał mi, jak przyszedł do pieniędzy.

Jego opiekun, będąc pijanym, wyszedł z domu zostawiając na biurku książeczkę czekową i list napisany. Roger skorzystał z tej chwili, by wyrwać jeden czek i skopiować podpis. Następnie wystawił czek na 600 dolarów i sfałszował podpis. Jestem przekonany, że ty na jego miejscu inaczejbyś nie postąpił.

Jabym czek ten na dziesięć razy taką sumę wystawił i drapnął.

— Kiedyż to było? — spytał Reno.

— Na krótko przed opuszczeniem posady, mniej więcej, przed siedmioma miesiącami.

Reno zdawał się być bardzo tą sprawą zajęty.

— Widziałeś jeszcze potem Rogera?

— Owszem, spotkałem go raz na ulicy. Wyglądał bardzo przygnębiony i znowu bez centa. Spytałem, jak mu się powodzi i czemu porzucił tak dobrą posadę, odpowiedział, że chętnie byłby pozostał, ale musiał słuchać opiekuna, który sobie tego nie życzył.

Na moje pytanie, czy się ta historya z czekiem wydała, odpowiedział:

— Tak, mój opiekun nie był tak pijany, jak mi się zdawało, już na drugi dzień tę sprawę odkrył i miałem istne piekło na ziemi. Ile razy nie chcę zrobić czego żąda, grozi mi prawem. To straszne. — — — — — —

Za jakiś czas rozeszli się obaj przyjaciele.

Maks pojechał do domu, a Reno do biura detektywa Szerloka, otworzył kluczem drzwi i wszedł bez niczego do pokoju rozebrał się z przebrania, gdyż nie był nikim innym tylko — detektywem Szerlokiem Holmesem.

— Zdaje mi się — mruczał do siebie — że zniknięcie Rogera i kradzież brylantów przecież się łączą.

Nie wątpię ani na chwilę, że ten łajdak udał tylko pijanego i czek umyślnie zostawił na stole w przypuszczeniu, że Roger zrobi z tego użytek. W ten sposób chciał go uchwycić pod swoją władzę, co mu się wspaniale udało.

Czy nie mógł zmusić Rogera do kradzieży brylantów, grożąc w przeciwnym razie oskarżeniem o fałszerstwo —

— Do licha, a gdyby tak było? Muszę tego dociec.

Za chwilę już jechał fiakrem na Houston Street Nr. 15.

Przybywszy tam zapukał na najwyższem piętrze do drzwi.

— A któż u dyabła tak późno się dobija? — zawołał głos wewnątrz. — Proszę.

Maks Kelly zdjął już surdut i kamizelkę i miał zamiar położyć się do łóżka.

— Wybacz pan — rzekł Holmes — że o tak późnej porze się narzucam, ale przychodzę w nader ważnej sprawie. Nazywam się Szerlok Holmes!

Maks Kelly spojrzał na detektywa zdumiony.

— O co chodzi? Prawdopodobnie chodzi o coś ważnego, jeśli pan przychodzi o tak późnej godzinie. Proszę usiąść.

— Dziękuję — rzekł Holmes siadając i przystąpił od razu do rzeczy.

— Znasz pan Rogera Leroi, nieprawdaż?

Maks cofnął się zdumiony. Cały wieczór rozmawiał z Renem o Rogerze, a teraz ten słynny detektyw pyta o to samo.

— Tak jest — odpowiedział wreszcie — co z nim?

— Obawiam się — rzekł Holmes — ale mówię panu w zaufaniu, panie Kelly — obawiam się, że pański stary przyjaciel został zamordowany.

— Zamordowany? — zapytał Maks i natychmiast dodał:

— Jeśli to prawda, mr. Holmes, to mogę przysiądz, że wiem, kto jest mordercą.

Roger miał tylko jednego wroga: prócz opiekuna wszyscy go bardzo lubili.

— Może masz pan i racyę, młody przyjacielu — rzekł Holmes — narazie nie wiemy nic pewnego, czy znalezione ciało jest trupem Rogera.

— Gdybym je zobaczył, możebym mógł coś o tem powiedzieć, znałem Rogera bardzo dobrze.

— Chwileczkę jeszcze — wtrącił Holmes — chciałbym panu zadać jedno pytanie, od odpowiedzi pańskiej dużo zależy. Czyś się pan kąpał kiedy z Rogerem?

— Zawsze, kąpaliśmy się codziennie w Hudsonie.

— Doskonale, gdyż tylko ten, kto go widział bez odzieży, mógłby go poznać.

— Jakto — spytał Maks — tylko ten, kto go widział nago?

— Ponieważ jest tylko ciało, a brak głowy — objaśnił Holmes.

Maks skamieniał.

— To straszne — wyjąknął wreszcie — to okropne. Czy ciało leży tu w trupiarni?

— Nie, w San Francisco, gdzie je znaleziono.

— W San Francisco, a skąd się tam wziął Roger?

— O tem, kochany przyjacielu, prawdopodobnie się dowiemy — rzekł Holmes. — W każdym razie trzeba, byśmy możliwie najprędzej pojechali ciało to rozpoznać. Nie wątpię ani na chwilę że ciało to jest Rogera.

— Przypominam sobie właśnie — rzekł Kelly — że Roger między palcami prawej nogi miał odgniotek, który mu często dolegał.

— To bardzo ważne — odrzekł Holmes — teraz nie zatrzymujmy się dłużej. Pociąg do San Francisco odchodzi za dwie godziny, ale byłoby lepiej gdybyśmy ekspresem odjechali wprost do stolicy Kalifornii.

— Ale co powie mój szef?

— Zostaw pan to już mnie. Ubieraj się pan prędko, poczekam tu na pana.

Za kilka minut Kelly był gotów do drogi.

— Przedewszystkiem — rzekł Holmes — musimy zabrać jeszcze pewną młodą damę, która będzie nam towarzyszyć.

— — — — — — — — — — —

Réné była bardzo zdziwiona, gdy późną nocą służąca zbudziła ją i objaśniła, że pan, który ją tu przywiózł, czeka na nią w poczekalni. Za chwilę była już na dole.

Po zapoznaniu wzajemnem młodych ludzi objaśnił ją Holmes o celu podróży.

— Dlaczegóż i ja mam jechać?

— Dla dwóch powodów — rzekł Holmes. — Raz, że może pani być nam tam bardzo użyteczną, a powtóre, że w czasie mojej nieobecności, nie mogę pani pozostawić w mieście, w którem przebywa jej przezacny opiekun.

ROZDZIAŁ VI.

Mister Jaques Navel.

Po niespełna ośmiu dniach zgłosiły się do szefa policyi w San Francisco trzy osoby. Był to detektyw, Réné i Maks Kelly.

— Według pańskiego życzenia — rzekł Holmes — objąłem wypadek morderstwa, dotyczący bezgłowego trupa. Czy do tego czasu zaszło coś nowego lub może pan sam poczynił jakie odkrycia?

Szef potrząsnął głową.

— Nie znalazłem najmniejszego śladu —

rzekł. — Stoimy przed tąsamą zagadką co i przed tem!

— Upłynęło już kilka tygodni, czy panowie zachowali ciało? — spytał Holmes.

— Zabalsamowano — odrzekł szef krótko.

— Czy możemy to ciało zobaczyć?

– Owszem, trupiarnia leży stąd niedaleko. Chodźcie państwo, zaprowadzę was.

Opuścili budynek i udali się w kierunku trupiarni.

Szef wyprosił z niej wszystkich obecnych i kazał zamknąć drzwi; zaprowadził towarzyszy na koniec sali i kazał służącemu odkryć prześcieradło.

Obecnym przedstawił się straszny widok. Na stole leżało młodociane, męskie ciało bez głowy.

Réné pozostała na znak detektywa u wejścia.

Maks Kelly oglądał prawą nogę zmarłego i wskazał na odgniotek między palcami.

— To on bez kwestyi — rzekł Holmes — wszelka wątpliwość tu wykluczona. To ciało bez głowy jest nieszczęśliwego Rogera Leroi.

Holmes podszedł do Réné.

– Czy pani nie wiadomo, by brat żalił się kiedy na jaki ból na nogach lub coś podobnego?

— Tak — rzekła Réné — wiem, że chodził często do operatora odcisków, gdyż, jak mawiał, dolega mu odgniotek między palcami prawej nogi.

— To wystarcza — rzekł Holmes cicho do szefa policyi — wiemy kim jest zamordowany. Pogrzebowi nic nie stoi na przeszkodzie, lecz o tem pomówimy później. Teraz chodźmy.

— Czy to Rogera ciało, mr. Holmes? Proszę powiedz mi pan prawdę — prosiła Réné.

Detektyw musiał szukać jakiejś wymówki.

— Niech się pani nie obawia, miss Réné. Niech mi pani wierzy, żeśmy ciała nie poznali i nie przypuszczaliśmy nawet, żeby było Rogera.

Wróciwszy do miasta, odprowadzili Réné do hotelu, poczem panowie wrócili do biura szefapolicyi.

Rozsiadłszy się wygodnie, zabrał Holmes głos.

— Kto jest zmarłym, wiemy teraz dokładnie. Jest to młody człowiek Roger Leroi, brat młodego dziewczęcia, które nam towarzyszyło. Co do mordercy nie jestem pewny, przypuszczam, że jest nim opiekun zmarłego, ale to się nie zgadza z mojemi kombinacyami. Pomimo to nie jest wykluczonem, by on dokonał tego czynu, inaczej nie wiem, ktoby to mógł być.

— Tak, tak musi być! — krzyknął nagle.

— Opiekun jest mordercą, dokonał czynu w New Yorku i wysłał za frachtem trupa do San Francisko.

Adresat go odebrał i wstawił do magazynu między inne paki.

Musimy znaleźć osobę, do której ona pierwotnie była wysłana.

Najlepiejby było, gdybyśmy się udali zaraz na dworzec towarowy.

Przybywszy tam, z pomocą kilku urzędników przejrzeli listę przesyłek. Zabrało to kilka godzin czasu, jednak bez skutku.

Usunęli wreszcie papiery na bok i patrzyli na siebie ze zdumieniem.

— Daremny trud — rzekli Kelly i szef policyi. — Przecież listu frachtowego nie było już przedtem i przeto skrzynia ta nie była wcale wciągana do rejestru — dodał urzędnik.

— A może fracht został skradziony przez wspólników zbrodniarza? — dorzucił szef policyi.

— Nie, wszyscy panowie jesteście w błędzie — rzekł Holmes z uśmiechem. — Moje przypuszczenia się sprawdzą, to skrzynia nie przyszła na fracht, lecz jako przesyłka wartościowa i pomiędzy temi papierami ją znajdziemy. Proszę panów urzędników zaprowadzić nas do tego działu.

Tu poprosił urzędnika o przedłożenie faktur wartościowych.

— Których? — spytał tenże.

— Tych, które w tak zwanym niebieskim wagonie przesyłane są z New Yorku do San Francisco — odrzekł Holmes.

Ponieważ Holmes mógł dokładnie określić dzień zniknięcia Rogera, znaleziono wkrótce spis przedmiotów nadanych tego dnia w New Yorku do St. Francisco.

Za kilka minut ukazał obecnym następującą uwagę.

„Wielka skrzynia, trzy metry w kwadracie, obita żelazem, zaopatrzona kunsztownym zamkiem. W bocznych ścianach wywiercone dziury, przeznaczone na ten cel, by przesyłkę, stanowiącą kosztowne skóry psów morskich, utrzymać w świeżości i nie dopuścić do wyschnięcia, ponieważ mają być na miejscu garbowane.“

Holmes spojrzał z tryumfem po wszystkich i rzekł:

— Moi panowie, tu mamy tę tajemniczą przesyłkę; według opisu jest to ta sama, którą znaleziono na dworcu.

— Tak, to ta sama, poznaję ją po dziurach, które natychmiast zauważyłem — dodał inny urzędnik.

— Więc zgadza się — zauważył Szerlok Helmes — sądzę, że mordercy chcieli wzbudzić podejrzenie, jakoby morderstwo spełnione zostało tuż przedtem, a nie parę dni wcześniej. Lecz do kogo adresowano tę przesyłkę?

Adres brzmi: Pan Jacques Navel, Marketstreet Nr. 51.

— Czy nie wie pan, kto to jest? — spytał Holmes szefa policyi.

Mina tegoż zdradzała wielkie zdumienie.

— Jacques Navel — rzekł — mój Boże, toż wprost niemożliwe.

— A dlaczego nie? — spytał Holmes. — Któż to jest ten Jaques Navel?

— To jeden z najpoważniejszych obywateli naszego miasta — rzekł szef.

— Co za interes prowadzi? — spytał detektyw.

— To największy handlarz brylantów na całem wybrzeżu.

— Handlarz brylantów? — powtórzył Holmes i twarz mu się rozjaśniła radosnym uśmiechem.

— Może mnie pan z tym człowiekiem zapoznać? — spytał szefa. — Jeszcze dość wcześnie, ale nie — przerwał — przepraszam, mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Zobaczymy się jutro.

Panowie pożegnali się do jutra, a na odchodnem rzekł Holmes do szefa policyi:

— Wierz mi pan, w przeciągu 24-ch godzin wyjaśnię nietylko tą sprawę, ale i dwa inne wypadki, łączność których wielce pana zadziwi. Dziwne się nieraz rzeczy zdarzają w życiu. Do widzenia, jutro.

Holmes z Maksem, poszli przedewszystkiem do urzędu telegraficznego, gdzie nadali następującą depeszę:

„Tiffany, New York. Oczekuję niezwłocznie telegraficznego dokładnego opisu zaginionych brylantów. Mianowicie największych i najbardziej wpadających w oczy. Holmes“.

Urzędnik zapewnił, że odpowiedź natychmiast wysłana, może nadejść za dwie godziny.

— Dobrze — rzekł Holmes — o tym czasie się zgłoszę. A tymczasem Kelly, chodźmy coś zjeść jestem strasznie głodny, bo nic dziś nie miałem jeszcze w ustach.

— I ja mam także apetyt, ale w roztargnieniu to człowiek o wszystkiem zapomina.

Gdy usiedli sobie w zacisznym kątku jednej z restauracyi, rzekł Holmes do swojego vis à vis:

— Teraz, kochany Maksiu, mogę ci tę sprawę wyjaśnić. Sądzę, że Lemoine ustawicznemi groźbami skłonił Roberta do skradzenia brylantów.

Po dokonanym czynie, odebrał mu brylanty, zamordował go, zapakował do skrzyni i wysłał do San Francisco. Tak mielibyśmy złodzieja brylantów i mordercę Rogera w jednej osobie.

Kelly skłonił głowę potakująco:

Dawno już o tem myślałem, ale na następujące trzy pytania nie mogę znaleźć odpowiedzi:

Pierwsze, w jaki sposób kamienie skradziono?

Drugie, gdzie głowa Rogera? — a trzecie, co Jaques Navel ma z temi sprawami wspólnego?

— Całkiem słusznie — rzekł Holmes — widzę, że masz talent na detektywa. Ale o tem potem, na razie trzymajmy się tych trzech punktów, Kto jest Jaques Navel, dowiemy się wkrótce, gdzie jest głowa Rogera, powinno się niedługo okazać, najtrudniejszem pytaniem jest, jak ukradziono brylanty?

Przed odejściem i po przyjściu pociągu, skradzione być nie mogły. Nie mogę sobie jednak wyobrazić, jak mogły być skradzione w biegu. Mniej więcej przypuszczam, ale mogę się mylić, przeto wolę nic nie mówić. Natomiast postawiłbym ci jedno pytanie, na które mi możesz odpowiedzieć. Czy Leroi pracował z tobą, Maks?

— Nie — rzekł tenże. — Roger pracował sam jeden w pokoju. Był nadzwyczaj zręczny rysownik, ale potrzebował spokoju, przeto dano mu osobny gabinet.

— Jak on był urządzony, czy prócz mebli były w nim i inne rzeczy?

Kelly pomyślał przez chwilę, potem odpowiedział:

— Ponieważ pokój był dosyć duży, przeto część jego przeznaczono na skład kasetek stalowych.

— W których wysyłano przesyłki wartościowe w niebieskim wagonie?

— Tak jest — potwierdził Maks — to przechowywano tam, a gdy miano wysłać jaką przesyłkę wartościową, przynoszono jedną do biura Tiffany'ego. Tam pakowano brylanty i już nie spuszczano ich z oczu aż do odejścia pociągu.

— Tak! — rzekł detektyw z namysłem. — A więc Roger pracował sam! I to pasuje do ram moich przypuszczeń, przeto sądzę, że postawiona przezemnie teorya jest prawdziwą.

Tymczasem upłynęło dwie godziny i obaj udali się do urzędu telegraficznego po odpowiedź z New-Yorku.

Brzmiała ona jak następuje:

„Najznaczniejszy kamień ze skradzionej kolekcyi, jest to żółtawy, nadzwyczaj piękny, okrągły brylant, wagi dwa i jedna czwarta karata. Poznać go łatwo po tem, że szlifowanie jest na nim zupełnie odrębne, niż na innych. Kamień ten, zamiast być u góry płaskim, a u spodu stożkowatym, jest okrągły jak kula, by przedstawiać kroplę. Jest to nowe doświadczenie i drugiego takiego kamienia zupełnie niema, ponieważ szlifowanie jest bardzo niekorzystne, a skutkiem tego cena niezmiernie wysoka. Inne kamienie nie różnią się niczem od zwykłych brylantów. Tiffany".

— Tak, no to już całkiem wyraźne. Chodźmy na Market Street, Nr. 51, złożyć wizytę panu Jaquesowi Navelowi.

Szef policyi nie przesadził, twierdząc, że interes Narela jest największy nie tylko w San Francisco, ale i w całem wybrzeżu.

Na wystawie sklepu leżały brylanty, wartości setek tysięcy, obok kosztownych zegarków i masy rubinów, szafirów i szmaragdów.

Przed szybą wystawową, umocowana była silna żelazna krata, by przypadkiem niepożądana ręka nie sięgnęła po te skarby.

— Do licha — rzekł Holmes zdumiony — to już bajeczne, nawet Tiffany nie ma tak wielkiego składu. Ten człowiek ma być zawikłany w morderstwo? Lecz — niemożliwem to nie jest, różne się trafiają się wypadki.

Wszedł z Kellym do wielkiego, nadzwyczaj eleganckiego sklepu. Dookoła ścian stały szafy, a gromadka pań i panów stała gotowa do obsługiwania gości.

W tyle sklepu widać było drzwi, prowadzące do prywatnego kantoru właściciela.

Młoda dama spytała wchodzących o życzenie.

— Chciałbym kupić brylant — rzekł Holmes — ale życzyłbym sobie czegoś odrębnego, niezwykłego.

Sprzedająca wyłożyła różne rzeczy, lecz nie to, czego chciał kupujący.

— Zdaje się, że nie będzie tego, czego szukam — rzekł tenże, przepraszając za stratę czasu.

Ze swego kantoru, przez małe, niewidoczne prawie kółeczko, obserwował właściciel, co się dzieje w sklepie.

Zobaczywszy, że pan ma zamiar odchodzić, pospieszył sam gościa obsłużyć.

— Pozwoli pan, że się przedstawię, Jaques Nawel, właściciel interesu; może ja usłużę panu, te panie nie znają wszystkiego tak dokładnie, jak ja sam.

Szerlok Holmes skłonił się.

— Hrabia Castellano, wielki miłośnik brylantów, chciałbym mieć coś nadzwyczajnego, niestety nie mogę znaleźć, czego szukam.

— Czy ma pan jakie specyalne życzenie — zauważył Navel — lub czy ma być oznaczonego koloru?

— Nie — rzekł pseudo-hrabia — ale ma to być coś niecodziennego, coś rzadkiego, odrębnego od zwykłych brylantów!

— Jak to ma wyglądać, może pan ma jakąś myśl?

— Nie, była to jedyna myśl moja, gdy przechodząc koło pańskiego sklepu i widząc taki wybór, powiedziałem sobie: Może znajdziesz tu coś takiego, czego niema ani w Paryżu, Londynie, ani nawet w Ameryce.

To skłoniło mnie do wstąpienia, lecz zdaje mi się, że tego tu nie znajdę.

— No — rzekł właściciel — to nie wykluczone, posiadam kolekcyę kosztownych skarbów, które nie każdemu gościowi pokazuję. Czy mogę prosić do mego prywatnego gabinetu? Pokażę panu kilka rzeczy, jakich pan jeszcze nigdy nie widział.

Panowie usłuchali zaproszenia i udali się do eleganckiego gabinetu mr. Navela, gdzie ten otworzył żelazną szafę, a z niej wyjął mały skarbiec. Z niego wydobył małą srebrną tackę, na której leżało kilka brylantów, każdy w innym rodzaju. Jeden wielkości orzecha włoskiego, drugi błyszczący jak gwiazda, trzeci kształtu gruszki, właściciel pokazywał je kolejno gościowi i ten musiał przyznać, że takich jeszcze nie widział.

Teraz kupiec sięgnął jeszcze raz do skarbca i rzekł:

— Tu mam perłę błysku! — i wyjął okrągły kamień.

— Ach, to rzeczywiście rzadkość — rzekł Holmes.

— Nieprawdaż? — zauważył Navel. — Możesz pan być pewnym, że drugiego takiego kamienia nie znajdziesz na całym świecie.

— Co on kosztuje? — spytał Holmes.

— Tego — rzekł Navel — poniżej pięćdziesięciu tysięcy dolarów oddać nie mogę.

— Ależ — zawołał Holmes — toż to niesłychana cena! Dlaczegóż tak drogo?

Właściciel uśmiechnął się i rzekł:

W stanie surowym, był to kamień rzadkiej wielkości, ale by mu nadać kształt kuli, musiano dużo odciąć i przez tą stratę jest tak kosztowny.

Trzymał go wysoko, by refleksy światła łatwiej działały, te były rzeczywiście czarowne.

— Widzi pan tą grę barw, to można tylko przez kuliste szlifowanie osiągnąć. Obmyślany był ten kamień, jako spadająca kropla, umocowana na małym łańcuszku do szpilki od krawatki. Przy zwyczajnem oszlifowaniu byłby znacznie większy. Widzi pan, że to nie za drogo, jeśli chce pan mieć coś, czego nikt nie ma na świecie, to kup pan ten kamień.

— Muszę się namyśleć — rzekł hrabia. — Pięćdziesiąt tysięcy dolarów to ogromna suma, sądzę jednak mój panie, że kamień ten nabędę. Przepraszam teraz, za godzinę wrócę i kupno uskutecznię.

Następnie z towarzyszem opuścił lokal i wsiadłszy w przejeżdżającą dorożkę, odjechał.

ROZDZIAŁ VIII.

Rozwiązanie zagadki.

Holmes użył tego wybiegu, by wpierw spokojnie rozmyślić całą sprawę.

A więc Jaques Navel, milioner, król brylantowy, jak go nazywano, był posiadaczem okrągłego brylantu Tiffany'ego.

— Zdaje się, że dochodzimy do gruntu sprawy — rzekł Holmes do Maksa.

— Chodzi o to, jak najlepiej ją uchwycić i najszybciej dojść do rezultatu. Roger będzie pomszczony, a Tiffany odbierze swoje brylanty.

— Ale ja jeszcze nie rozumiem — wtrącił Kelly — w jaki sposób wyjaśniasz pan tę sprawę. Nie możesz pan w żaden sposób dojść łączności.

— Wiem już wszystko dokładnie, a i ty mój synu wkrótce się dowiesz o wszystkiem. Teraz muszę nadać telegramy do Nowego Yorku, a ty możesz mi towarzyszyć.

Depesza do prezydyum policyi w Nowym Yorku brzmiała:

„Aresztujcie natychmiast Lemoinea z powodu morderstwa popełnionego na Rogerze Leroi“.

— Tak, tego się schowa bezpiecznie pod klucz, by nie umknął.

Następnie do Tiffaneygo zatelegrafował:

„Kulisty brylant znalazłem, przyszlijcie natychmiast kogoś, lub przyjdźcie sami, by kamień rozpoznać. Holmes“.

— Tak, teraz nazad do Navela — rzekł Holmes — teraz może zacząć się początek końca.

Gdy Holmes i Kelly weszli do lokalu pana Jaquesa Navela, wybiegł naprzeciw nim promieniejący radością właściciel. Był przekonany, że zrobi teraz dobry interes.

Poprosił znowu panów do prywatnego kantoru.

— Czy hrabia zdecydował się do kupienia okrągłego brylantu? — zapytał. — Bardzobym się cieszył, gdyby kamień, tak rzadki, dostał się w godne ręce.

— Stanie się to, bądź pan spokojny! — rzekł Holmes. — Kupię go chętnie, ale chciałbym wiedzieć coś o jego pochodzeniu.

Szef ściągnął brwi.

— Jak pan to rozumie?

— Uważam, że przy kupnie za pięćdziesiąt tysięcy dolarów nie można być dostatecznie bezpiecznym. Muszę przecież wiedzieć, skąd pochodzi ten kamień.

Jaques Navel podskoczył na swem siedzeniu.

— Mój panie, to zakrawa na obrazę. Czy podejrzywasz pan moje handlowe transakcye?

Holmes skinął, by usiadł.

— Bądź pan spokojny, panie Navel, nie podejrzewam ani pana, ani nikogo. Mam tak długo o ludziach jaknajlepsze wyobrażenie dopóki nie przekonam się o czemś przeciwnem. Dotychczas tego o panu nie przekonałem się. Mam jednak nadzieję, że się to wkrótce stanie.

Navel zbladł na te słowa.

— Jak pan to rozumie, co pan chce przez to powiedzieć? Jak pan śmie coś podobnego mówić w moim własnym interesie. Któż jesteś mój panie?

— To się pan zaraz dowiesz, zresztą uważam, że we własnym pańskim interesie leży być spokojnym i mówić możliwie najciszej. Gdyż tego, o co chodzi, nie potrzebuje nikt wiedzieć. Proszę więc, siadaj pan. Jestem Szerlokiem Holmesem i przybywam z New-Yorku.

Na dźwięk tego imienia upadł Jaques Navel bez słowa na fotel.

— Holmes? — bełkotał — Holmes, detektyw? Czego pan odemnie chcesz?

— Już to panu powiedziałem. Chcę wyjaśnienia skąd ten okrągły brylant dostał się w pańskie ręce.

— Ja — go kupiłem, jak wszystek mój towar kupuję — jąkał Navel.

Holmes potrząsnął głową.

— To się nie zgadza. Daję panu jedną radę, bądź pan szczery, w przeciwnym razie każę pana uwięzić nie tylko za kradzież brylantów, ale i za morderstwo.

— Za morderstwo? -- szeptał Navel trwożnie i twarz mu jeszcze bardziej zbladła, podczas gdy krople potu spływały mu po twarzy.

— Za morderstwo? Jak pan do tego przychodzi?

— To wiesz pan sam najlepiej — rzekł Holmes. — Pytam po raz ostatni, chcesz pan wyznać, skąd masz ten okrągły kamień?

— Powiedziałem już, kupiłem go!

— Dobrze, w takim razie pomogę pańskiej pamięci. Ten kamień pochodzi z kolekcyi Tiffany'ego, z New Yorku, wysłanej do tutejszej filii i skradzionej z niebieskiego wagonu. Przyznajesz pan?

— Czyś pan zwaryował, jak pan śmiesz mnie tak obrażać w moim domu. Choćbyś pan był tysiąc razy Szerlokiem Holmesem, zaskarżę pana o obrazę honoru. Podobne grubiaństwo jeszcze mi się nie przytrafiło, wyjdź pan stąd, albo każę pana za drzwi wyrzucić.

Holmes ani się ruszył.

— Tego pan nie zrobisz. Zrobię panu propozycyę. Jeśli pan przyznasz, że dużą skrzynię z dziurami, wysłaną do pana z New Yorku otrzymałeś i nazad ją na dworzec odesłałeś, opuszczę pana natychmiast.

Przerażenie ogarnęło Navela, z trudem odzyskany spokój zniknął.

— I to panu wiadome? — szepnął cicho.

— Tak jest, bądź pan pewnym, że wiem wszystko i najlepsze, co pan możesz zrobić — to szczere wyznanie.

-- Wtedy przyrzekam panu, że wstawię się za nim, by karę możliwie złagodzić.

— Mój Boże, co mam robić? — mamrotał Navel ocierając pot z czoła.

Podczas tej rozmowy drzwi do sklepu od kantoru były zamknięte. Teraz zabrzmiał dzwonek i nowy gość wszedł do sklepu. Holmes spojrzał przez dziurkę, o mało nie odskoczył ze zdziwienia, zobaczywszy Lemoine'a którego kazał w New Yorku pilnować jak oka w głowie i przed chwilą aresztować. Jak zawsze, tak i teraz nie opuściła go przytomność umysłu. Szybko zasłonił głową otwór, by Navel nie mógł zobaczyć przybyłego.

Ten podszedł do lady i spytał się, czy szef jest w biurze. Panna obsługująca odpowiedziała, że mr. Navel jest chwilowo zajęty.

— W takim razie poczekam, muszę w prywatnym interesie koniecznie z nim mówić — rzekł Lemoine.

W tej samej chwili rzekł Holmes do Maksa, nie zmieniając pozycyi.

— Maks, weź prędko fiakra i przywieź tu Réné.

Maks przeszedł natychmiast przez sklep obok Lemoine'a, który go nie znał i naturalnie nie zwracał na niego uwagi.

Navel chciał wyjść z kantoru, lecz Holmes zastąpił mu drogę.

— O tak, nie idzie. W ten sposób pan nie wyjdziesz.

Wyjął z kieszeni legitymacyę i pokazał mu ją ze słowami:

— W imieniu prawa aresztuję pana.

— Pan chcesz mnie aresztować?

— Tak i to za kradzież, oszustwo i morderstwo.

— Za morderstwo? powtórzył Navel, siląc się na spokój.

— Tak, za morderstwo popełnione na Rogęrze Leroi — rzekł Holmes.

Zmiażdżony siedział Navel na krześle i szeptał:

— Więc pan wiesz wszystko...

— Wiem wszystko. Najprościej będzie, jeśli mi pan odpowiesz na moje pytania. Mało mi zależy na aresztowaniu pana, bylem odzyskał brylanty. Jestem prywatnym detektywem, a nie policyą. Jeśli odzyskam brylanty i otrzymam jasny dowód, że nie jesteś pan winien morderstwa nieszczęśliwego Leroi, gotów jestem nawet pana nie aresztować. Widzisz więc pan, że jedynem pańskiem zbawieniem jest szczerość. Odpowiadaj więc pan.

Po pierwsze: skąd pan zna tego łajdaka Lemoine'a?

— Nie znam żadnego Lemoine'a — odrzekł ponuro Navel.

Holmes zacisnął pięści.

-- Widzę, że muszę z panem inaczej postępować. Poczekaj pan, już ja pana dostanę.

Otworzył cokolwiek drzwi i zawołał zmienionym głosem, naśladując szefa.

— Ach dzień dobry mr. Lemoine, proszę, chodźże pan do mnie.

Stało się coś nieprawdopodobnego.

Drzwi się otworzyły i wszedł Lemoine. Holmes wsunął się w kąt, tak, że wchodzący go nie zauważył. Ten szybkim krokiem podszedł do Navela który z przerażenia stracił mowę.

— Szczęście, że pana zastałem, Navel, w New Yorku piekło, Holmes nas śledzi. Natychmiast wyjechałem, raz by uciec przed tym wyżłem, powtóre by pana ostrzedz. Zdaje mi się, że ten czart Holmes wie wszystko i sądzę, byśmy jak umówione, podzielili się zdobyczą i to prędko. Rób pan ze swoją częścią, co chcesz, ja zmykam do Brazylii.

Navel ani się ruszył, widział. że wszystko stracone.

Lemoine mówił dalej: Jadę na południe, a jeśli Holmes spróbuje mnie śledzić, wpakuję mu kulę w łeb.

— Śledzić pana nie potrzeba, a zastrzelić się też nie dam — zawołał nagle jakiś głos za Lemoinem, który obróciwszy się przerażony, zobaczył przed sobą Holmesa.

— Widzisz Pan jak się, pięknie spotykamy — rzekł tenże.

Lemoine z początku oniemiał, gdy jednak się opamiętał, rzekł.

– Czy pan z dyabłem w zmowie? Czy zawsze wszędzie jesteś?

— Jestem zawsze wszędzie tam, gdzie potrzeba — odpowiedział Holmes.

Tymczasem Maks Kelly przybył do hotelu, w którym stała Réné. W kilka sekund, pukał już do drzwi.

Réné radośnie skoczyła na jego powitanie.

— Przynosisz mi pan jaką dobrą nowinę? — spytał żywo. — Czyż ta niepewność skończy się już raz?

— Sądzę, że najbliższe godziny wyjaśnią już wszystko — rzekł Kelly.

— Jestem przysłany, by panią zabrać i zawieść do Holmesa, który jest u jubilera na Market Street. Proszę, weź pani kapelusz i płaszcz i jedziemy.

Réné za chwilę była gotowa. W milczeniu siedzieli chwilę koło siebie w doróżce, zajęci własnemi myślami.

Nagle Kelly zwrócił się do towarzyszki, wziął ją za rękę i rzekł:

— Niestety muszę panią przygotować na smutny fakt, przyrzeknij mi pani, że będziesz spokojną.

— Jej jedyny obrońca, jej brat Roger.

— Co się z nim stało? — zawołała Réné z przestrachem.

— No trudno, raz się pani musisz dowiedzieć.

— Czego? — spytała Réné — czy ciało tam w trupiarni było Rogera?

Kelly milczał.

— Pan nie odpowiadasz, mr. Kelly, miałam przeto racyę. O, przeczuwałam to — rzekła Réné i płacząc zakryła twarz rękami.

Maks jej nie przeszkadzał, dał woźnicy rozkaz już przedtem, by nie jechał wprost na Market Street, lecz zboczył przez Lincoln-park. Chciał dać czas Réné, by mogła się uspokoić i przygotować na nowe wrażenia. Prócz tego miał i osobisty w tem cel.

Miss Réné, niestety, brat pani Roger nie żyje i jesteś pani sama na świecie. Pozwól mi pani troszczyć się za siebie i uprzyjemnić jej dalsze życie, gdyż, Réné ja kocham panią od pierwszego wejrzenia.

Réné podniósła oczy i spotkała się z pytającym wzrokiem swego przyjaciela, a przez łzy błysnął na jej twarzy uśmiech szczęścia. Wzruszony przytulił ją Maks do swoich piersi i poprzysiągł być wieczną podporą tak ciężko doświadczonej kobiety.

W kilka minut zatrzymała się doróżka przed sklepem jubilera na Market Stret.

— — — — — — — — — — —

Holmes słyszał jak drzwi się otworzyły. Spojrzał przez dziurę, zadowolony zatarł ręce.

— Moi panowie — rzekł — mam dla was wspaniałą niespodziankę — ukłonił się szyderczo, a raczej dla ciebie, przezacny panie opiekunie.

Drzwi do kantoru się otworzyły i do pokoju weszła Réné w towarzystwie Kellego. Holmes szybko poskoczył i zamknął drzwi na klucz.

— Tak — rzekł — teraz jesteśmy wszyscy razem, teraz sprawa pójdzie gładziej i szybciej. Nie opuszczę pokoju, dopóki nie będę miał zupełnego wyjaśnienia, inaczej — tu wyjął z kieszeni parę kajdan — dziś jeszcze pójdziecie panowie do więzienia.

Réné zdrętwiała, patrzyła na niezrozumiałą dla niej scenę.

— Wuju — zawołała — co ty tu robisz?

Ten na widok niespodziewanej pupilki stał jak skamieniały przez chwilę.

— Jestem zgubiony — zawołał potem — niema dla mnie ratunku. Lecz zanim pójdę do więzienia, raczej umrę, a ty coś mnie tak podle podeszła, podzielisz mój los.

To mówiąc skoczył ku Réné, chcąc ją chwycić za gardło. Holmes, który ani na chwilę nie spuszczał go z oczu, trzasnął go między oczy z taką siłą, że ten jak długi runął w przeciwległym kącie pokoju.

— Nędzniku, ty się jeszcze rzucasz na bezbronną dziewczynę, którąś i tak ciężko skrzywdził? — i z gniewem podszedł do zbrodniarza.

— Wstawaj tchórzu, bo się nie zniżam do człowieka leżącego na ziemi. Wstawaj, bym ci naprzód wypłacił cząstkę tych okrucieństw.

Lemoine nie okazywał jednak zamiaru usłuchania wezwania.

Leżał jeszcze w kącie i wił się jakby w strasznych kurczach.

Holmes zdumiał się. — Zdaje mi się, że ten łajdak umiera.

Ukląkł i spojrzał w twarz Lemoine'a, mieniącego się czarnemi i niebieskiemi farbami. Holmes znał te symptomata, to było otrucie, i zanim zdążył go zbadać, ciało drgnęło jeszcze kilka razy i z Lemoine'a był trup.

Réné odwróciła się ze zgrozą; Navel siedział drżący na fotelu i patrzył w rozgrywający się dramat.

Holmes przywołał Maksa i rzekł: — Przyczyna śmierci jest dla mnie zagadką, ten człowiek zmarł skutkiem indyjskiej trucizny, musiał ją mieć w ręku i chciał zapewne zabić nią Réné. Pomóż mi otworzyć tą rękę, ale bądź ostrożny.

Na średnim palcu błyszczała zwyczajna obrączka złota, jakiej zwykle używają narzeczeni i żonaci. Ta na jednej stronie miała prawie niewidoczny, maleńki, ostry, szpic.

— To jest — rzekł Holmes — pierścień napełniony zapewne trucizną. Gdyby Lemoine schwycił Réné za gardło, byłoby to dziecko również w tak straszny umarło sposób. Skorom go uderzył, zacisnął mimowolnie pięści i przy tej sposobności sam się skaleczył.

Holmes podniósł się.

— Taki koniec był nieprzewidziany — rzekł — ten człowiek wymknął się sprawiedliwości ziemskiej, z nim już skończyłem, teraz z panem.

Czy gotów pan wyznać wszystko?

Navel skinął głową, niezdolny był do wymówienia słowa.

— Jeśli pan nie może mówić opowiem panu jak się rzecz miała: chcę panu pokazać, że wiem wszystko. Jedyny punkt mnie niejasny, to jest zamordowanie Rogera.

Teraz skoczył Navel z siedzenia:

— Roger nie był zamordowany — zawołał — przysięgam panu na to!

— Tylko? — spytał Holmes.

Navel zakrył rękoma twarz. — Nie mogę tego powiedzieć, to straszne! Nie mogę wymówić! — zawołał i nim mu kto mógł przeszkodzić, pobiegł do zmarłego.

Holmes zrozumiał natychmiast zamiar Navela i chciał go oderwać, ale już było zapóźno.

Navel dotknął już dłonią pierścienia. Powtórzył się ten sam widok co przed pięcioma minutami. W kącie leżały dwa trupy.

Nie przeczuwając niczego, rozmawiali subjekci i subjektki w sklepie wesoło, teraz wszedł tam Holmes i rzekł:

— Moi państwo, donoszę wam smutną wiadomość. Wasz szef mr. Navel umarł w tej chwili na atak apopleksyi. Proszę być gotowym do opuszczenia sklepu jak tylko tu wejdzie policya.

Następnie pospieszył do aparatu i zatelefonował do szefa policyi kryminalnej:

— Przyjdź pan natychmiast, wszystko się wyjaśniło, niestety wśród bardzo tragicznych okoliczności.

Po przybyciu policyi i oddaleniu personalu, przeszukano natychmiast kasę. Znaleziono w niej całą kolekcyę brylantów Tiffanyego. Wydano zwykłe w tym wypadku rozporządzenia i całe towarzystwo pojechało do biura szefa policyi dla złożenia protokółu.

Holmes zabrał głos:

— Zeznania nie złożył żaden. Lemoine nie miał zapewnie zamiaru zabijać się, ale padł ofiarą swej wściekłości i nieuwagi. Navel natomiast otruł się umyślnie, nie mając odwagi do wyznania, a nie chcąc przeżyć hańby. Szczęśliwym trafem, nim tam poszedłem, wiedziałem już wszystko. Chciałem się tylko przekonać, czy moje podejrzenia i kombinacye się sprawdzają.

— Wyrażam panu, panie kolego, moje najzupełniejsze uznanie — rzekł szef.

— Dokonałeś pan znowu mistrzowskiego dzieła i zarobiłeś piękny kawał grosza. Pomimo że znam fakta, nie wszystko mi jest jasne. Który z nich dwóch popełnił morderstwo? Jak je popełnił? Jak

skradziono brylanty z niebieskiego wagonu? Jak łączy się morderstwo z kradzieżą brylantów?

— Wszystko panu wyjaśnię — rzekł Holmes. — Ta dama, panna Réné Leroi i zaginiony, a teraz, jak nam wiadomo, zmarły Roger Leroi, to rodzeństwo. Na te słowa Réné wybuchła płaczem. Holmes zwrócił się do Kellego.

— Maks wyprowadź panią do drugiego pokoju i dotrzymaj jej towarzystwa. Możemy o tem i potem pomówić.

Maks chętnie uczynił zadość temu życzeniu i oczywiście robił wszystko możliwe, byle pocieszyć Réné.

Holmes ciągnął dalej.

— Lemoine był opiekunem tych dwojga dzieci, Rogera umiał ująć w swą moc dając mu sposobność sfałszowania czeku, za co mu naturalnie groził prokuratorem. Roger pracował u Tiffanyego i bezwątpienia zmusił go opiekun do skradzenia kasetki, co jak wiem teraz, było nie trudnem, ponieważ były przechowywane w pokoju, w którym pracował. Zdaje się, że pod tym względem mało tam kontroli. gdyż Roger kasetkę skradł rzeczywiście. Tego samego dnia, w którym wysłano brylanty, poszła niebieskim wagonem do St. Francisko i skrzynia z Rogerem.

Lemoine za zgodą Rogera zapakował go do skrzyni i wysłał. Zamek był tak skonstruowany i założony, że Roger go od wewnątrz otworzył i w czasie jazdy wyszedł z kryjówki. Skradzioną kasetkę od Tiffanyego wymienił na drugą wypełnioną brylantami.

— Roger musiał w Chicago wejść do skrzyni, gdyż jak wiemy wagon tam rewidują. Skoro pociąg ruszył, zamek już nie funkcyonował i Roger wyjść nie mógł. Ponieważ w nadziei szybkiego z niej wyjścia źle się zapewne ulokował, a w dodatku prowiantu nie mógł dosięgnąć, z głodu i zgryzot umarł po dwóch lub trzech dniach.

— Może pan ma i racyę ale to tylko przypuszczenia.

— Nie mogę to w bardzo prosty sposób udowodnić. Gdym badał skrzynię znalazłem szczególniejsze urządzenie zamku; mechanizm musiał odmówić posłuszeństwa, ponieważ z wielkim trudem zaledwie go otworzyłem, co dla Rogera w leżącej pozycyi było wprost niemożliwe.

Z tego wynika dalej, że Navel odebrawszy skrzynie, już w niej znalazł trupa. W rozpaczy odciął głowę, by przeszkodzić rozpoznaniu ciała a trupa rozebrał i wrzucił do tej samej skrzyni i wsunął między inne frachty na stacyi, gdzie ją znaleziono. Myślano, że list frachtowy zgubiono, a tymczasem nikomu nie przyszło do głowy zaglądnąć do ksiąg od przesyłek cennych.

— Dobrze, ale ten nagniotek ważną ogrywa tu rolę — rzekł szef.

— To prawda, takie drobnostki zdarzają się często przy rozwiązywaniu trudnych wypadków.

— Czy masz pan nadzieję znaleźć głowę? – spytał urzędnik.

— Wątpię — odpowiedział Holmes. — Sądzę, że Navel zapakował ją do worka, obciążył i wrzucił do morza.

— A teraz dodał — muszę wysłać do Nowego Yorku telegram... Sprawa załatwiona, a muszę przyznać, że to był najtrudniejszy wypadek, jaki mi się w życiu zdarzył.

Wyjął z kieszeni ołówek i papier i pisał:

Tiffany, New York. Brylanty znalezione. Wszystko wyjaśnione. W przeciągu ośmiu dni będę w New Yorku i przywiozę całą brylantową przesyłkę.

Holmes.

Następnie wstał i wszedł do przyległego pokoju; zdumiony stanął w progu zobaczywszy Kellego i Réné w poufałej pozycyi, jej głowę na jego ramieniu i oczy śmiejące się szczęściem. Zmieszani zerwali się oboje z kanapy. Holmes jednak podszedł do nich i podał im ręce.

— No, dzieci? — zauważył z uśmiechem, – tom sobie pomyślał, czy mogę pogratulować?

A gdy oboje milczeli dodał:

— Wierzcie mi, spodziewałem się tego, i bardzo się cieszę. Co dla waszej przyszłości uczynić będę w stanie, to zrobię.

Uścisnął Réné, ucałował i przyrzekł być i na przyszłość dla obojga dobrym doradcą i wiernym przyjacielem.

KONIEC.

Uwagi i przestrogi pana Kuśtyki,

c. k. emerytowanego woźnego sądowego dla kolegów, będących w czynnej służbie.

O! najdrożsi, sercem ukochani Cesarsko-Królewscy!

Straszne rzeczy przechodziłem w ostatnich czasach, których nie zapomnę, choćbym żył dłużej jeszcze niż moja żona.

Baba ma się zupełnie dobrze i wcale jeszcze nie myśli o koronie Niebieskiej. Niech jej tam Pan Bóg będzie miłościw, chociaż jest grubo starsza odemnie! Ale serce ma dobre!

Wracając jednak do tego, co przedtem mówiłem. — — Na czemże ja to stanąłem? Acha! na sercu mojej żony — a jeszcze przedtem? Acha, wiem już! na tych przejściach, które przechodziłem!

Więc przedewszystkiem mam okropne przejście z miasta do domu.

Na Dębnikach, gdzie mieszkam, to jest panie bździejku takie wściekłe błoto, że po prostu przejście jest niemożliwe! Więc to jest pierwsze straszne przejście. W stronach tych panują egipskie ciemności, ja zaś cierpię na t. zw.: „Kurzą ślepotę“, którą złośliwi nazywają także „piwną ślepotą“ u mnie, ale przeciw temu protestuję energicznie. Otóż mam taką przypadłość, że jak jest ciemno, to nie widzę, bo nie jestem ani kotem, ani sową, tylko emerytowanym c. k. woźnym sądowym. Możecie sobie wyobrazić, jaka to dla mnie klęska! W tych ciemnościach kieruję się instynktownie tam, gdzie jest światło, by tam się oryentować co do dalszej drogi.

No, a gdzie się świeci? No, oczywiście w knajpie, panie bździejku, u państwa Bergerów, Tillesów, Willerów i innych zacnych obywatelów. —

Najboleśniej dotknęło mnie jednak inne jeszcze przejście, które miałem niedawno temu z Szanowną moją Redakcyą, która ma ten zaszczyt, że ja mam to szczęście być współpracownikiem „Szerloka Holmesa“.

Oburzeniu mojemu dałem już wyraz w liście otwartym napisanym do tejże Redakcyi i w wizytówce mojej, którą do listu załączyłem.

Autorstwo moich „Uwag i spostrzeżeń“ przypisywali komu innemu, A fe!... Chcieli mnie odrzyć ze sławy jak kiełbasę ze skóry, ale ja się nie dałem i zawołałem: „Ho! ho! ho! panie bździejaszku!“

Widzicie z tego, kochani Koledzy, co to znaczy energia.

Jedno mnie pociesza. Że nietylko ja, ale i nasza dobra, stara matka Europa ma dziwne przejścia! Pewnego razu, nie mając nic lepszego do roboty, zabrałem się do czytania „Nowej Reformy“ z tamtego roku, w której kucharka przyniosła mięso od rzeźnika i dlatego pochorowaliśmy się z tego wszyscy. Kazałem to natychmiast wyrzucić z domu, tj. mięso, a „Reformę“ przeczytałem. No to, to panie bździejku z tą Europą źle będzie, jak widzę!...

Grecya tędy, a Włochy tamtędy, Anglia na to nic!... Źle będzie!... Żeby to jeszcze Francya coś tego chociaż, dyabła tam! Norwegia także milczy i tylko na Zwierzyńcu jest jeszcze jaki taki ruch!...

Żona moja dostała fluksyi i od trzech dni ani paszczęki nie otworzy!... To i czegóż mi do szczęścia potrzeba? Ja umiem poprzestawać na małem, nie żądam od życia więcej, niż ono dać może, a od baby żądam tylko, żeby bardzo gęby nie otwierała. Wtedy czuję się panem w domu i nic mnie nie obchodzi ani Europa, ani biegun północny!...

Trzeba mieć zawsze energię i być panem w domu.

Dlatego wypiję tylko jeszcze jedną bombę i lecę do domu, bo dziesiąta dochodzi, a moją żonę może już opuściła fluksya, czego nie daj Boże— Amen!...

Wydawca: Aleksander Ripper. Odpowiedzialny redaktor: Tomasz Wróbel. Drukarnia A. Rippera w Krakowie.

SZERLOK HOLMES

TYGODNIK KRYMINALNY.

Prototypem niestrudzonego, pełnego poświęcenia szermierza porządku i ładu społecznego, był i będzie po wszystkie wieki

SZERLOK HOLMES

najgenialniejszy detektyw i kryminalista, jakiego kiedykolwiek ziemia wydała. Wolny i niepodległy, surowy dla siebie i innych, współczujący z nieszczęśliwymi i szlachetny — nie oddał on genialnego talentu swego w przedajne usługi żadnego rządu, żadnej uprzywilejowanej warstwy społecznej lub koteryi politycznej, lecz całem swojem duchowem i fizycznem jestestwem służył wielkiej Ojczyźnie człowieka — Ludzkości.

Nigdy jeszcze nie było detektywa, któryby w równej mierze łączył **rozum, siłę, przenikliwość, gruntowną wiedzę, odwagę i przytomność umysłu** i wszystkie te rzadkie dary tak szlachetnie i bezinteresownie oddawał na usługi społeczeństwa.

Przygody Szerloka Holmesa w Londynie, Paryżu, Wiedniu, Pradze, Petersburgu, Madrycie, Nowym-Yorku, Chicago, San Francisko, Kairze, Indyach, Australii, **jego niepospolita przenikliwość, ruchliwość jego umysłu, jego sprytne kombinacye**, które się opierają na głębokiej znajomości człowieka, a często i na podstawie naukowej, i prowadzą go zawsze do pożądanego celu, **jego żelazna energia**, zwalczająca przeszkody — to stanowi treść senzacyjnych, wysoce interesujących, przykuwających uwagę opowiadań

O SZERLOKU HOLMESIE.

Prócz niezwykłych przygód interesującego tego człowieka — podajemy ponadto w każdym numerze naszego „Tygodnika“ — przegląd bieżących a ciekawych wypadków kryminalistycznych, jak niemniej obfitą wiązankę humorystycznych zdarzeń, epizodów i intermezzów z sali sądowej i ogółem z zakresu kryminalistyki.

Każdy numer zawiera prócz tego nieocenione humorystyczne

Uwagi i przestrogi Pana ...

c. k. emerytowanego Woźnego sądowego, który ze skarbnicy swoich doświadczeń życiowych i biurowych sypie prawdziwe klejnoty, mieniące się jak rakiety tysiącem barw w promieniach jego dowcipu i pogodnej ironii.

Niniejszem podajemy spis najnowszych Numerów, traktujących między innymi artykułami także i o przygodach tego genialnego Króla detektywów.

Wyznawcy dyabła.
Pierścień Maryi.
Fałszywy generalissimus.
Dusiciel z Pragi.
Zbrodnicza droguerya.
Katastrofa budowlana.
Mężczyzna pokojówką.
Trzynaście kul.
Rabuś dziewcząt.
Tajemnica pergaminu.
Miłosny szał króla złodziei.
Zagadkowy oblubieniec.
Tajemniczy szofer.
Podróż na północ.
Joly, pies policyjny.
Yoril, bandyta uliczny.

Co sobotę regularnie ukazuje się numer naszego Tygodnika, opatrzony piękną, kolorową illustracyą.

Cena pojedynczego Nru 30 hal. = 15 kop. = 25 fen.

Do nabycia we wszystkich księgarniach, ajencyach dzienników i trafikach, oraz wprost w Administracyi.

Adres Redakcyi i Administracyi Tygodnika Szerlok Holmes: Kraków, Zielona 7.

Skład główny na Królestwo polskie: Księgarnia Komisowa w Warszawie, ulica Waliców 5.